Nr. 235. Lwów. — Sobota dnia 15 października. Rok 1887.

Wychodzi codziennie z wyjątkiem dni poświątecznych.
Cena prenumeraty: We Lwowie: miesięcznie 1 zł. 75 ct., kwartalnie 5 zł., półrocznie 10 zł., rocznie 20 zł. Na prowincji z przesyłką pocztową: Miesięcznie 1 zł., Kwartalnie 3 zł., Półrocznie 6 zł., Rocznie 12 zł.
Numer kosztuje 8 centy.

PRZEGLĄD
polityczny, społeczny i literacki.

Z zamiejscową prenumeratą zgłaszać się należy do Administracji „PRZEGLĄDU" we Lwowie, przy ul. Sykstuskiej L. 45. Zmiana zamiejscowej prenumeraty na miejscową i odwrotnie nie jest dopuszczalna. Uprasza się prenumeratę przysyłać przekazami pocztowemi, a nie w kopertach. Osoby przysyłające pieniądze w kopertach raczą dopłacić po 5 ct. do każdego listu. Rękopismów Redakcja nie zwraca.

Dziś: Teresy i Jadwigi. Jutro: B. 20 po Pośw. koś.
Adres Redakcji i Administracji: Ulica Sykstuska L. 45.
Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.
Wschód słońca g. 6 m. 25·0. Zachód „ 5 „ 4·0. Długość dnia g. 10 m. 39·0. Ubyło dnia 4·0 min.

Przegląd polityczny.

Parlament austrjacki doczekał się trzynastej frakcji poselskiej. Miał dotąd tuzin klubów, a przedwczoraj powstał trzynasty klub: młodoczeski. Pp. Blażek, Engel, Herold, hr. Kaunitz, hr. Lażansky (były aktor) i Vašaty, sześciu mężów postępu i prawdziwego patrjotyzmu — założyli ten klub, na który dziwnym zrządzeniem losu, przypadła tak fatalna cyfra trzynastki.

W parlamentach jest zwyczajem we wszystkich parlamentach, że każdy klub ma sobie prezesa. Jest to niezawodnie zasada arystokratyczna, a wprowadzona i obliczona na zgubę ludu, bo skoro uznaną jest rzeczą od czasów rewolucji francuskiej, że wszyscy ludzie są sobie równi, to rzecz pewna, że równi są sobie także wszyscy posłowie, a w takim razie, jakiem prawem jeden byłby wywyższony nad innych i obdarzony przywilejami, których inni nie posiadają?

Jednakże mimo to wszystkie kluby parlamentarne na całej kuli ziemskiej uznają ten przywilej prezesa i obierają go sobie, a to dla tego, że praktyka okazała, iż bez prezesa działalność polityczna klubu jest zupełnie sparaliżowana. Prezes klubowy nie jest bowiem tylko szefem klubu w wewnętrznym jego życiu, ale także jego reprezentantem na zewnątrz. Wchodzi on w układy z innemi klubami, zawiera kompromisa, traktuje z rządem, ocenia sytuację, bada chwilę właściwą, w której ma wystąpić z jakąś akcją lub jakiś wniosek postawić, czy interpelację postawić; na zewnątrz przez niego wobec innych klubów mają wszystkie traktatów międzynarodowych w tym mikrokosmosie, jakim jest parlament.

Inaczej zaś zupełnie dzieje się, gdy klub na zasadzie równości postępuje, jak to zrobił klub młodoczeski. Hołdując zasadzie demokratycznej, uchwalił on mianowicie, że każdy jego członek po kolei będzie prezesem, a alfabet o porządku, w jakim członkowie klubu prezesować mają, stanowić będzie. Oczy wiście z takim prezesem alfabetycznym nikt nigdy w układy wchodzić nie będzie, bo cóż za wartość miałaby umowa zawarta z dzisiejszym alfabetycznym prezesem klubowym, skoro jutro prezesem będzie kto inny, wprawdzie człowiek tych samych mniej więcej przekonań, ale może zupełnie innego temperamentu i odpowiednio do tego temperamentu zapatrujący się wręcz przeciwnie na sprawę? Klub o takich alfabetycznych prezesach chodzi tedy zawsze samotnie, nikt z nim w żadne rokowania nie wchodzi, nikt na niego nie liczy do akcji go nie wzywa, a przez to praca jego w parlamencie jest żadna, bez pożytku i dla państwa i dla kraju i dla tych okręgów wyborczych, które takich posłów wybrały.

Z tego już jednego faktu, że ten klub młodoczeski uchwalił alfabetyczne prezesostwo, można powziąć wyobrażenie, jak zielone głowy, oddane doktrynie, wchodzą w skład tego klubu. A cóż dopiero powiedzieć o tem, że przez utworzenie osobnego młodoczeskiego klubu, rozbita została solidarność narodowa czeska i że na międzynarodowej, a w każdym razie na „międzynarodowościowej" arenie parlamentu wiedeńskiego, staną wrogo przeciw sobie jedni Czesi przeciw drugim, bratobójczą prowadząc walkę?

Ktoś kiedyś powiedział, że Czesi są głównie dla tego biednym narodem, że nikt do nich nie ma sympatji. Jest w tem sporo prawdy, bo w samej rzeczy sympatycznym ten naród nie jest. Przecież szkoda go, żeby tak marniał wskutek waśni, jaką w łonie jego wszczęli ludzie zepsuci, źli, ambitni bardzo, i więcej siebie, swoje ja i swoję doktrynę kochający, niż swój zawód.

Przez utworzenie młodoczeskiego klubu zadali oni ciężki cios sprawie narodu czeskiego. Bo teraz rozpocznie się prawdopodobnie licytacja między obu czeskiemi klubami o popularność w narodzie, a skoro nie rozum stanu i znajomość stosunków kierować będzie krokami staroczeskiego klubu, lecz tylko zabiegi o to, aby się przypodobać ogółowi i prześcignąć młodoczechów, to rzecz jasna, iż rola polityczna klubu staroczeskiego i jego znaczenie w parlamencie spadać będzie z dniem każdym. Każdy inny klub będzie co chwila wygrywał kartę antagonizmu między dwoma czeskiemi klubami i tym atutem zabijał Riegera, albo go zniewalał do ustępstw.

W nieszczęściu tem, jakie ci źli ludzie ściągnęli na naród czeski, pomyślnem jest chyba tylko to, że ich jest tak mało, tylko sześciu dotąd. Ale i ta pomyślność przecenianą być nie może, bo skoro nie jest wykluczonem, że ci sześciu mogą się rozmnażać przy każdych uzupełniających wyborach, to rzecz oczywista, iż licytacja o popularność będzie między obu klubami równie silna, jak byłaby wtedy, gdyby oba kluby liczyły równą liczbę głosów.

Ale ktoś niebiegły w znajomości walk i stosunków parlamentarnych, może sobie pomyśleć, że ta licytacja między dwoma klubami czeskiemi przyniesie właśnie pożytek narodowi czeskiemu, bo oba kluby będą właśnie się starały jak najwięcej przynieść swemu krajowi usługi i wzajemnie będą się podżegały do pracy.

Tymczasem tak nie jest. Będą licytowały się na tem polu, na którem nie oddaje się żadnej usługi krajowi: na polu mów podczas plenarnych posiedzeń, oracyj wygłaszanych *zum Fenster hinaus*, dla tego, aby je wyborcy czytali w dziennikach, a których nikt w parlamencie słuchać nie będzie; na polu interpelacyj, na które rząd będzie lub nie będzie odpowiadał; na polu rezolucyj, które rząd będzie wrzucał do kosza; słowem na polu arlekinady parlamentarnej, ale nie na polu rzetelnej pracy, wyrażającej się w ustawach. Gdyż na tem polu ten tylko waży, kto jest silny, a rozdwojony naród silnym nie jest, gdyż te rzeczy układają się nie na plenarnych posiedzeniach i nawet nie w komisjach, ale na poufnych naradach prezesów klubowych między sobą i z członkami rządu. Zwykle cały operat, omówiony poufnie, jest już wygotowany do ostatnich szczegółów, wtedy gdy przychodzi na stół Izby, a jeżeli czasami pod wpływem jakichś nieprzewidzianych czynników, rzecz się zmieni i układ pryśnie, to znowu nawiązuje się w poufnych naradach, a nie na plenarnem posiedzeniu w obliczu całego świata. Owóż w tych poufnych naradach ten tylko ma posłuch i znaczenie, kto jest silny, kto może powiedzieć: „rozporządzam taką to a taką armją głosów". A czyż będzie silny klub staroczeski, skoro co chwila i rząd i inne kluby będą mogły przeciw mu zagrać atutem tego antagonizmu, jaki istnieje między nim a klubem młodoczeskim?

Dla nas, dla prawicy, to rozdwojenie Czechów tembardziej jest dotkliwem, że właśnie na lewicy odbywa się akcja w kierunku wręcz przeciwnym. Toczą się mianowicie rokowania między austro-niemieckim klubem a *Nurdeutschami* (klubem niemieckim) w celu zlania się w jeden klub. Rok doświadczenia przekonał *Nurdeutschów*, że jako osobny klub nie mają znaczenia i przeto Knotze i *tutti quanti* chcą wrócić do austro-niemieckiego klubu, z którego się przedtem wyłonili.

Serbski radykalny *Odjek* zaszczycił nas we środę wyjątkową uwagą. W numerze z tego dnia umieścił on odezwę do Polaków, w której powiada, że czas już nam przekonać się, żeśmy na fałszywej drodze. „W wysokim stopniu „niecywilizacyjne" zarządzenia, wydawane przez księcia Bismarka dla zgermanizowania Wielkopolski, uczyniły byt Polaków pod zaborem rosyjskim o wiele znośniejszym od bytu ich pod pruskim zaborem. Wzywamy tedy naród polski, aby w ostatniej chwili przejrzał i przez zbliżenie się do swych słowiańskich braci udaremnił możliwe skutki wrogiej Słowianom polityki niemieckiego kanclerza."

Słowa te, podkreślone czerwonym ołówkiem, raczyła nam przysłać szanowna redakcja *Odjeku*. Śpieszymy z odpowiedzią tem chętniej, że właśnie możemy dać dosadną. Oto są świeże wiadomości z Podlasia:

„Do Włodawy przybył z Chełma dyrektor gimnazjalny, zgromadził z całego miasteczka gapiów i w szatrze zbudowanem na prędce koło cerkwi niedawno unickiej a dziś prawosławnej urządził nader oryginalne przedstawienie. Było to coś w rodzaju ludowego teatru. W farsie apoteozowano prawosławie i rząd, miotano bluźnierstwa na Kościół katolicki, wyszydzano Papieża i duchowieństwo nasze. Było to widowisko tak odrażające, że nawet prawosławni głośno sarkali.— W tym samym czasie do „opornej" wsi Łomaz przybył gubernator siedlecki, zgromadził lud i począł go namawiać do przyjęcia prawosławia, wystawiając wyższość religji prawosławnej nad katolicką i przyrzekając fawory rządowe i przebaczenie za dotychczasowy upór; a jeśli upór trwać będzie dalej, to — rzekł p. gubernator — „ani jeden z was nie umrze w swej chacie, wszystkich zeszlemy tam, „gdzie Makar cieląt nie pasie" (to znaczy na Sybir), a ze wsi waszej śladu nie zostanie, bo ją spalimy i miejsce zaorzemy."

Zgodzi się zapewne redakcja *Odjeku*, że trudno nam dostrzedz różnicy między wrogami pruskimi a „braćmi Słowianami." Jedni dla nas warci ośmnaście, drudzy dwadzieścia bez dwóch, więc ani tym, ani tamtym ręki nie podamy.

Są ludzie, którzy nawet kosztem kompromitacji pragną zwrócić na siebie bodaj chwilową uwagę. W tej właśnie intencji niedorzeczność zrobił jakiś ks. Woronców, zapewne suchotnik, bo mieszka w Meranie. Jest to niezawodnie jeden z owych Czernajewów, Skobielewów i Kirejewskich, którym się zdaje, że paplanina to polityka i że ich majaczenie wpłynie na europejskie stosunki. — Ten ks. Woronców wystosował do *Pressy* takie pismo na karcie korespondencyjnej: „Sz. Panie! Wasz dzisiejszy w ogóle przyzwoity — co rzadkość w austrjackiej prasie — artykuł pod tytułem „Francja a Rosja" nasuwa mnie parę uwag. Musieliście zauważyć, jak zwięzłym jest rząd rosyjski we wszelkich komunikatach, odezwach i innych tego rodzaju aktach. On nie daje powodu do skarg na nieskończoną paplaninę, nudne gadulstwo i nieznośne uprzykrzanie się, jak to czynią w innych państwach. Jeżeli tedy jakakolwiek osoba półurzędowa, urzędowa, albo nawet książęca coś uczyni, to bądźcie pewni, że w tem coś jest. Przy ścisłej, nieubłaganej etykiecie, panującej na naszym carskim dworze, żaden w. książę nigdyby się nie poważył wyrzec choćby słówka bez wyraźnego najwyższego upoważnienia. Rzecz naturalna, że potem następuje zwyczajne zaprzeczenie, które jednak nie oszukuje nikogo. Toast (w ks. Mikołaja) zawierał prawdę: już jest po przyjaźni naszej z Niemcami — wojna nieunikniona! (podp.) książę Woronców."

Ten sam jegomość wystosował taki telegram:

„Do dziennika *Post* w Berlinie. Niech żyje Francja! ks. Woronców."

Post, podawszy ten telegram, dodała taką uwagę:

„Dziękując W. ks. Mości za uwagę, którą książę właśnie nam raczyłeś okazać, staramy się być godnymi jego zaufania, podając niniejszem do powszechnej wiadomości wylew pańskiego entuzjazmu dla Francji, podniecanego prawdopodobnie świeżą historją Caffarela."

Trudno było lepiej uderzyć po nosie za niedorzeczny wybryk. Ale my, ponieważ się nie irytujemy okrzykami na cześć Francji, więc nie możemy zapomnieć, że p. Woronców niezawodnie jest chory, skoro siedzi w Meranie, niezawodnie jest bardzo chory, skoro takie listy i telegramy rozsyła.

„Historja" Caffarela, kwalifikująca się całkowicie przed sąd kryminalny, a przez nas notowana w kronice, zaczyna nabierać barw politycznych. Jen. Boulanger oskarżył przed korespondentem *Nation* ministra wojny Ferrona o to, że tę „historją" umyślnie tak naciągają, żeby skompromitować jego (Boulangera), że listy jego czytają na poczcie, kontrolują telegramy i t. d. „Chcą mnie zrobić kozłem ofiarnym — rzekł jen. Bum-Bum — ale opinja publiczna nie dopuści do tego. Ferron oświadczył w prywatnej rozmowie, że koniecznie musi mię wmięszać do tego skandalu." Z tego powodu pisze *Rep. Fran.*: „Oświadczenia Boulangera tworzą nowy skandal. Jesteśmy pewni, że minister wojny postąpi stanowczo dla pokazania, że Francja nie jest jakąś południowo-amerykańską republiką, wiecznie zawichrzoną, w której jenerałowie wciąż się oskarżają wzajemnie i wywołują wojny domowe."

Dodać tu należy, że radykalne dzienniki oskarżają Rouviera o to, iż długo korespondował z Ferr'ym i z nim do spółki ułożył całą akcją przeciw Caffarelowi *et comp.* dla obalenia Grévy'ego i powszechnego zawichrzenia sytuacji w rządowych sferach paryskich, a wszystko to oczywiście na pożytek własny, mianowicie dla ułatwienia zamiaru rozwiązania parlamentu, do czego dążą wrzekomo obaj ci panowie.

Znać już taka dola republikańsko-francuskich mężów stanu, że muszą być suto obrzuceni błotem, choćby tak wstrętnem, jak Caffarelowskie.

O stanie rokowań w sprawie bułgarskiej piszą nam z Wiednia:

(□) W ruchu dyplomacji, odnoszącym się do sprawy bułgarskiej, zaznaczył się fakt, który jest dotychczas zakulisowym, lecz pomimo tego tak znamiennym, że należy go podnieść. Otóż mogę wam pod gwarancją autentyczności podać treść dokładną noty, jaką w tych dniach Rosja Porcie doręczyła. Porta zapytała była, pod jakimi warunkami zechciałaby Rosja wejść w stosunki przyjaźne z Bułgarją. Nota rosyjska w odpowiedzi podaje cztery punkta: 1) wysłanie rosyjskiego komisarza z przydaniem mu tureckiego towarzysza; 2) komisarz zamianuje nowy rząd; 3) w trzy miesiące przeprowadzi komisarz wybór nowego sobranja; 4) sobranju poleci Rosja dwóch kandydatów na księcia do wyboru. — Gabinety państw traktatowych i rząd bułgarski otrzymały poufnie odpisy tej noty. Rząd bułgarski odpowiedział Porcie, że ks. Ferdynand został wybrany dla tego, iż mocarstwa nie mogły i nie chciały przedstawić kandydata; że gdyby książę został zawezwany do opuszczenia kraju, to usłuchałby tylko w takim razie, gdyby równocześnie mocarstwa traktatowe wymieniły innego kandydata, którego chcą polecić. W nocie przesłanej na ręce dra Vulkowicza do Konstantynopola, dr. Stransky, minister spraw zagranicznych, oświadcza:

„Nie leżało to w intencjach mocarstw traktowanych, żeby Bułgarja pozostawała ciągle w stanie anarchji. Wybierając tedy księcia działaliśmy nietylko zgodnie z prawami traktatowemi, lecz zarazem zgodnie z prawami, jakie ma każdy kraj starania się o własny rząd. Przywilej ratyfikowania wyboru naszego księcia, który przysługuje mocarstwom, musi być wykonywany zgodnie z prawami zdrowego rozsądku. Nie można od nas wymagać, żebyśmy żyli bez rządu, dla tego jeno, że gabinety europejskie są niezgodne w swoich zapatrywaniach i nie są w stanie polecić nam panującego. Bułgarja jest jak ów chory, któremu niewolno jeść innego pokarmu wyjąwszy przepisanego przez lekarzy. Lecz jeżeli lekarze odmawiają ordynacji, to chory musi uledz wymaganiom utrzymania życia i używać pokarmu, jaki może otrzymać.

Byliśmy gotowi wybrać każdego kandydata, któregoby nam polecili nasi protektorowie. Nie zaproponowali żadnego, więc musieliśmy wybrać sami. A teraz oświadczamy, że protestować przeciw księciu przez nas wybranemu, bez przedstawienia nam innego, to znaczy po prostu żartować sobie z nas i radzić nam, żebyśmy znowu kraj nasz wydali na anarchję."

Mocarstwa otrzymały także odpis tego dokumentu.

Dwa te akta stawiają kwestję jasno: Rosja stoi niezmiennie przy tem, że Bułgarja ma być jej niewolnicą; Bułgarja zaś stanowczo broni swojej niepodległości. Między temi dwoma stanowiskami nie ma kompromisu.

Gdy zatem nie ma sposobu ścisłego, nawet formalnego zastosowania przepisów traktatu berlińskiego, więc mocarstwa wolą utrzymanie stanowiska bułgarskiego, gdyż ono *de facto* gwarantuje w kraju pokój, co się i przy wyborach okazało, a tem samem gwarantuje i pokój europejski, który tylko w razie rozruchów i anarchji w Bułgarji byłby narażonym. Turcja prowadzi i będzie długo jeszcze prowadzić komedję not i komunikatów. Mocarstwa przypatrują się spokojnie, niemal obojętnie.

Korespondencje.

Londyn 3 października.

(W.) Wróciłem przed paru dniami z Portsmouthu, dokąd mnie zaproszono na „święto marynarskie": spuszczono na morze nowy olbrzymi pancernik „Trafalgar", który budowano dwa lata. Ten stalowy kolos ma 105 metrów długości, a 22 szerokości, grubość jego ścian kutych z żelaza wynosi $1/2$ metra a porusza go machina parowa pracująca siłą 12 tysięcy koni. Armat na nim trzydzieści, z których dwanaście tak wielkich, że wewnątrz może się pomieścić człowiek nawet tak gruby, jak lord admiralicji. Chcecie wiedzieć co kosztowało to cacko? Drobnostkę, bo tylko trochę więcej jak miljon funtów (13 mil. złr.)

Drugi taki sam kolos widziałem w warsztacie portsmuskim. Za parę miesięcy będzie on gotów, a już teraz dano mu na imię „Nil".

Z Portsmouthu zrobiłem do Irlandji wycieczkę. Wielki Boże! Cóż się stało z tego „zielonego kraju"! Jeśli dwie walczące ze sobą strony chciały koniecznie mieć wojnę domową ze wszystkiemi jej okropnościami, — no, to już mają! Wiecie, że bynajmniej nie jestem bezwzględnym zwolennikiem irlandzkich pretensyj i że doprawdy nie mogę wzbudzić w sobie admiracji dla tego czteromiljonowego narodu, który daje co roku domom przymusowej pracy ni mniej ni więcej tylko 315.000 pensjonarzy, co dowodzi, że na każdych siedmiu Irlandczyków jeden jest już takim nicponiem, takim amatorem żebraniny, że go trzeba bizunem i kozą zmuszać do zarabiania na kawałek chleba. Wcale tedy nie rozczulają mnie łzy p. Johna Morleya, który na meetyngu wighowskim w Newcastlu opłakiwał los Irlandji „katowanej" przez rząd, ale nie zachwycają mnie także ody, które lord Randolf Churchill wyśpiewał rządowi na meetyngu w Withy. Zgoda na surową dyscyplinę, gdy się ma do czynienia z tak rozwydrzonem, wpędzonem na manowce społeczeństwem, jakiem się stało irlandzkie w skutek długoletnich agitacyj i nauk anarchicznych, ale ta dyscyplina powinna być słuszna, profos powinien być sprawiedliwy, ostrożny, inaczej w istocie może się stać katem. I stał się nim, niestety, w tej głośnej awanturze w Michelstownie, o której już wiecie, jak to widzę z *Przeglądu*, którego cały stos czekał na mnie w Londynie, kiedy ja się włóczyłem po Szkockich górach, tak zajmująco opisanych przez Walter-Scotta.

Za waszę uprzejmość odwzajemnię się kiedyś szkicami szkockiemi a teraz wracam do tej awantury w Michelstownie. Śliczna to mieścina ów Michelstown, położone wśród rozkosznych wzgórz i sadów, w tej części Irlandji, która jest typem uroczej sielskiej malowniczości. Miejscowi i okoliczni mieszkańcy zebrali się tam byli na meeting pożegnalny deputowanego Dillon. P. Labouchère, słynny redaktor dziennika *Truth* i deputowany radykalny, oraz kilku przedstawicieli Ligi narodowej znajdowali się pomiędzy organi-

---

8)

BRATOWA.

POWIEŚĆ

przez

W. CHERBULIEZ.

(Ciąg dalszy).

— Nie znam mojej bratowej, ale tak jak gdybym ją widział, — pomyślał Maurycy. — Mój brat ożenił się dla pieniędzy, ona wyszła za niego powodowana ambicją, on zaślubił dwudziestofrankówki, ona nadzieję teki ministerjalnej. Niech ją Bóg błogosławi! Musi być brzydką jak ropucha.

List Henryka kończył się temi słowami:

„Mój drogi Morysiu, dotychczas umysł twój i serce wałęsały się po świecie; gdy wrócisz, znowu pod moję władzę, musimy znaleźć ci kącik i ustalić twe myśli i serce. Doniesiono mi, że pułkownik Saint-Maur, nie kontent jest z ciebie. Żali się, że nie raczyłeś go odwiedzić przed odjazdem. Powiedział komuś, a ten ktoś mi powtórzył, że za dwa lata Simona będzie ich mieć już dwadzieścia i że z łatwością znajdzie dla niej odpowiednią partję. Skorzystałem z chwili swobodnej, by odwiedzić niedźwiedzia w jego jaskini, z której nie wychodzi wcale. Zaręczyłem mu, że zaczynasz być poważnym człowiekiem i że nigdy nie przestałeś myśleć o Simonie. Odpowiedział mi dosyć ostro, że mężczyzna nie mający żadnego zajęcia, nie może być dobrym mężem i że nidy próżniaka za zięcia nie przyjmie. Odpowiedziałem mu, że może się w tem na mnie spuścić, że czekam tylko twego powrotu, by ci znaleźć odpowiednią karjerę. Udobruchał się wreszcie i sądzę, że chciał nas tylko zastraszyć. W głębi duszy kocha cię on bardzo i przykro by mu było wyrzec się ciebie, już to hultaje mają zawsze szczęście do ludzi. Simona jest dobrą partją, szkodaby było z rąk ją wypuszczać. Odziedziczyła po matce czterykroć sto tysięcy franków, ojciec jej zostawi drugie tyle; a przytem jasna blondynka, z twarzyczką, która się coraz ładniej układa, jest dobrą muzykantką, trochę nieśmiała, ale bynajmniej nie głupia, doskonale wychowana przez ojca, który mimo swej opryskliwości, posiada dużo zdrowego rozsądku i przez Angielkę, mającą równie piękne zasady jak wąsy. Potworze, czegoż chcesz więcej? Bądź rozsądny i podziękuj mi. Całuję cię, jakby ci to powiedzieć.... po ojcowsku".

— Cóż mówisz o tej dachówce, która mi na głowę spada? — zawołał Maurycy, podając Sewerynowi list brata.

— Jesteś naprawdę godzien pożałowania! Powiedziałeś mi kiedyś, że panna Saint-Maur ma twarz obiecującą i że będzie śliczną.

— Być może, lecz ostatni raz gdy ją widziałem, bawiła się jeszcze lalką. Trzebaby zobaczyć co potrafiła zrobić z siebie przez te dwa lata. Nie ufam ja estetyce Henryka; bądź przekonany, że został olśniony pięknością panny de Riaucourt, chociaż prawdopodobnie jest brzydką jak straszydło.... Zresztą to nie Simona mnie przestrasza, lecz małżeństwo... Kiedyż to ty się ożenisz, mój panie, który z taką rezygnacją spoglądasz na nieszczęście drugich?

— Nie tak prędko. Chcę wprzódy mieć własny dom, wybudowany przezemnie, według mego gustu, nad brzegiem Sekwany, w miejscu, które sobie upodobam, naprzeciw wysepki okrytej zielonością. Zobaczysz, jak ci się spodoba. Ale wybudujmy naprzód, o umeblowaniu pomyślemy potem.

— Szczęśliwy człowieku i wielki architekcie! — zawołał Maurycy i dodał: — Cóżem ja u djabła zrobił mojemu bratu, że koniecznie chce mnie zaprządz do jakiego pługa i ożenić. Czyż nie dość jednego człowieka serjo i żonatego w rodzinie!

W kilka miesięcy później, Seweryn otrzymał list od swego ojca, naglący go do powrotu.

„Jestem obarczony pracą, pisał do niego, i chcę, byś w niej wziął udział. Próżniaku, czy już nie lubisz kielni?"

Seweryn lubił kielnię namiętnie. Ojciec jego nie wiedział, iż znalazł on zajęcie w San Francisco. Zamożna kongregacja poleciła mu wybudowanie kaplicy. Wziął się do budowy z zapałem, pielęgnował to dziecię z miłością twórcy i nie chciał je opuścić, nie zapewniwszy mu losu. — Tym sposobem, gdy nasi dwaj podróżnicy wylądowali w Hawrze, okazało się, że przebyli po za krajem przeszło dwa lata. Seweryn był uszczęśliwiony odetchnąwszy na nowo powietrzem rodzinnem, wice-hrabia d'Arolles nie zupełnie podzielał radość przyjaciela. Szczerze kochał brata i czuł wielki szacunek dla pułkownika Saint-Maur; ale byłby bardziej żądnym widzenia ich, gdyby zawczasu nie byli rozporządzili jego osobą.

II.

W ciele prawodawczem nastały wakacje jesienne. Hrabia d'Arolles, załatwiwszy się z czynnościami rady departamentowej, postanowił odpocząć cokolwiek w majątku należącym do jego żony i położonym w odległości kilku mil od Bajonny. Tam wyczekiwał na brata, uprzedziwszy go o tem wprzódy i prosił, by przywiózł swego towarzysza podróży. Zalecił mu również, by wprzódy zajrzał w okolice Fontainebleau i złożył uszanowanie pułkownikowi Saint-Maur. Traf zrządził, że w tym samym czasie ogłoszonym został konkurs na budowę teatru w jednem z miast południowej Francji. Program podobał się Sewerynowi i zachęcony przez ojca, postanowił pojechać na miejsce budowy, szukać natchnienia. Pewnego poranku Maurycy wpadł do Fontainebleau, wrócił po południu i wieczorem spotkał się na dworcu kolei Orleańskiej z Sewerynem, który jadąc na południe za swemi interesami, obiecał spędzić z nim wprzódy dni kilka w La Tour, rezydencji hrabiny d'Arolles.

Gdy się znaleźli sam na sam w wagonie:

— I cóż—zapytał Seweryn—sprawa skończona? Pan teść był-że uprzejmy? Narzeczona podobała ci się? Dzień ślubu czy wyznaczony?.. Mówże... Wyglądasz jak kot, który umoczył pyszczek w śmietanie i zapytuje siebie samego, czy mu smakowała.

— Cóż ci odpowiem mój drogi? — rzekł wreszcie wice-hrabia d'Arolles. — Wszystko odbyło się przyzwoicie. Pułkownik nic mi o małżeństwie nie wspomniał — prawdopodobnie uważa je za zupełnie zdecydowane. Oświadczył mi tylko, że Henryk znalazł dla mnie posadę. Jaką? Sam nie wiedział, jest jednak przekonanym, że mi będzie pod każdym względem dogadzać i nie przypuszcza, bym odmówił. Ten zacny pułkownik nie omieszkał palnąć mi kazania o próżniakach. Cóż mu biedacy zrobili, kiedy nic nie robią?

— I cóżeś mu odpowiedział?

— Że i próżniacy mają pewne zasługi, które Bóg uwzględnić musi, chociażby te, że nic złego nie zrobili. Rozgniewał się i spuściłem nos na kwintę. Siły nasze nie były równe, on był o kuli, a ja jej nie miałem.

— A cóż Simona rzekła podczas tej burzliwej rozprawy?

— Nic, absolutnie nic. Słowa nasze przelatywały o ośmnaście stóp po nad jej głową.

— Czy jest przystojna?

— Nie brzydka.

— Ładna?

— Prawie, o ile mi się zdaje.

— Blondynka?

— Tak jest, jestem tego niemal pewny.

— Ależ nieszczęsny! Nawet jej się nie przyjrzałeś!

— Prawdę powiedziawszy, znam ją mniej niż przedtem.

— Czyż taka tajemnicza?

— Banalna raczej. Ma jednak bardzo przyjemny głosik, srebrny jak włosy. Gdy jej powiedzieć: Jakże się miewasz kuzynko? odpowie: Dziękuję ci mój kuzynie, a ty?... te sześć wyrazów wdzięcznie brzmią w uchu, a to jest, co powiedziała najgodniejszego uwagi. — Cóż chcesz! to dobra dziewczynka, która tyle zna życie, o ile je mogła dojrzeć przez dziurkę od klucza.

— Koniec końców, żenisz się czy nie?

— Nie wiem. Nie mam powodów mówić tak, a jeszcze mniej, by powiedzieć nie... Zazdroszczę z głębi duszy ludziom mogącym powiedzieć, że coś wolą. Może ty wolisz, bym się ożenił?

— Niech mnie Bóg strzeże, bym cię miał namawiać. Jakby małżeństwo zły obrót wzięło, mówiłbyś wiecznie, że to moja wina.

— Będziesz jednak musiał wyjawić twe zdanie. Gwałtem czy z dobrej woli, zobaczysz bowiem pannę Saint-Maur i powiesz mi co o niej myślisz, lecz przedewszystkiem muszę się dowiedzieć, czego chce odemnie mój brat i jaką posadę dla mnie wymyślił... Znam go pod tym względem, gotów Bóg wie co wynaleźć... Tymczasem mówmy o czem innem, na Boga mówmy o czem innem.

Zaczęli tedy rozmawiać o czem innem. — Przedmiotu do rozmowy nigdy im nie brakło. Swobodna gawęda i liczne cygara, które palili, nie dały im zasnąć noc całą. Rano przybyli do Bordeaux, gdzie się pociąg czas jakiś zatrzymał.

zatorami zebrania. Nie miało ono żadnego wyzywającego charakteru, tembardziej, że między miejscową ludnością a panią Weber, właścicielką wspaniałego zamku w hrabstwie Kingston i olbrzymich dóbr doń należących, stosunki są względnie lepsze, aniżeli w wielu innych miejscowościach okolicznych. Na wózkach i pieszo ciągnęła kilkotysięczna procesja, pod przewodnictwem proboszczów na plac, gdzie pp. Dillon, O'Brien i Labouchère mieli przemawiać. Dzień był słoneczny, natura się uśmiechała i zgromadzenie nie miało w sobie ani cienia zaciętości nienawistnej. Niespodzianie, pomiędzy policją a jednym z przedstawicieli prasy wybuchła sprzeczka; przyszło do kułaków i rzucania kamieniami. Nie było więcej jak dwudziestu policjantów na placu, i w obawie, ażeby ich nie poturbowano, schronili się do swoich koszar. Lud tryumfował nad łatwem zwycięstwem i śpiewać zaczął piosnki, gdy naraz otwarły się okna koszar i zaczęto z nich strzelać do zebrania. Trzech zabito na miejscu; raniono kilkunastu mniej lub więcej ciężko. Policja została panem pobojowiska.

Bezprawie było jawne. Nie należy zapominać, że meeting nie był zabroniony, że nie odczytano *Rio-act'u*, co jest niezbędną formalnością do użycia broni, że nie dano żadnych sygnałów przestrzegających, że zamiast strzelać bez kul i strzelać ku nogom, a nie ku głowie, co ma sobie polecone straż angielska, strzelano na serjo i wprost do głów. Nielegalność całego tego zajścia nie ulega najmniejszej wątpliwości. Rząd zamiast uznać to, ogłosił się solidarnym z policją i chociaż zarządził śledztwo, to jednakże z góry wiedzieć można, iż nie doprowadzi ono do niczego.

Od tej chwili sytuacja pogorszyła się w całym kraju. Nikt już nie słucha medjatorskiego głosu arcybiskupa Walsha, nawet cały kler katolicki rzucił się do jawnej propagandy zbrojnych rozruchów. Ze wszystkich stron przychodzą wiadomości, że eksmisje fermerów wywołują sceny gwałtowne. Wczoraj na gruntach lady Kingston, kobieta, którą wyrzucano z folwarku, zastrzeliła policjanta; w Fermoy, fermerzy zamieniają swoje folwarki w warowne fortece, w których zamierzają stawiać opór do ostatka policji i wojsku; w Youghal ludność miejscowa uprzątnęła szyny z drogi żelaznej i przecięła druty telegraficzne, przygotowując się do oporu. Duchowieństwo katolickie w Kilruch, pod prezydencją dziekana ks. dr. Sinana, zaniosło uroczysty protest przeciwko zniesieniu Ligi narodowej i pogwałceniu swobód publicznych. Mógłbym wymienić długi szereg innych tego nastroju faktów. Wszystkie zgodnie pokazują, że oburzenie kotłuje w piersi irlandzkiego społeczeństwa. — W samym Dublinie urągają zniesieniu Ligi. Pod przewodnictwem mera odbył się meeting jej komitetu centralnego i wielu, przeważnie Anglików, zapisało się na jej członków. Nawet tu, w Anglji, ludzie się zapisują na członków Ligi jedynie dla zaznaczenia swego niezadowolnienia z niezręczności irlandzkiego rządu.

Oto, co może zrobić jeden krok nieostrożny, jedna niesprawiedliwość, dokonana w oczach tak głęboko przejętego poczuciem sprawiedliwości angielskiego narodu!

Jeśli „mikado“ znaczy tyle po japońsku, co po nasz mu cesarz, to czemużby indyjski wyraz „nizam“ nie miał odpowiadać naszemu „król?“ Oczywiście, że mógłby! A zatem nizam Hyderabadu, rozległego państwa, leżącego na północno-zachodnich kończynach angielskich Indyj, jest królem Hyderabadu. Ale ba, Hyderabad jest koniec końców posiadłością królowej Wiktorji, albo raczej cesarzowej Wiktorji, jakże tedy oprócz królowej ma być jeszcze król, kiedy ich nie łączy węzeł małżeński? — A cóż to szkodzi? Alboż cesarz Wilhelm nie komenderuje tuzinem królów i wielkich książąt?

Jest tedy nizam Hyderabadu królem, a za cóż ten awans? A oto za to, że w liście do wice-króla indyjskiego, lorda Dufferina, przyrzekł wypłacić „swej siostrze“ Wiktorji 400.000 funtów szterlingów na uzbrojenie granicy od Afganistanu, który wcześniej czy później pójdzie pod berło carskie. Czterysta tysięcy funtów! — wszakże to 5½ mil. złr. Skąd ten szanowny król tyle ma pieniędzy? Zagadka ogromna, a rozwiązanie jej łatwe: nie da on ani penny, a napisał ten list na prośbę lorda Dufferina, który teraz może zaprosić wszystkich nabobów do naśladowania największego z nich. W ten mądry sposób wice-król zbierze pieniądze na ufortyfikowanie granicy, a tymczasem tytuł „nizam“ przez wdzięczność przetłómaczono na angielski „king“ — król.

Stan rolniczy we Francji.

Szwedzki badacz kwestyj agrarnych August Stridberg wydał pod powyższym tytułem dzieło, które (w przekładzie niemieckim Eryka Holma) doszło do rąk naszych. Warto je przewertować. Jest tam wiele ciekawych szczegółów, które sprostować mogą mylny pod wielu względami sąd ogółu o stosunkach społecznych we Francji.

Autor powiada i słusznie, że gdyby prawdą była postawiona przez Spencera definicja rozwoju społeczeństw, t. j. że rozwojem jest ruch od jednorodności ku różnorodności, wtedy musiałyby społeczeństwa europejskie wyglądać zupełnie inaczej, aniżeli wyglądają dzisiaj.

We Francji n. p. urzędnicy, nauczyciele i artyści stanowią razem 5 procentów ogólnej liczby ludności; kapitaliści również 5 prct.; kupcy i przemysłowcy 35 prct. — zaś resztę, a właściwie większość narodu stanowią rolnicy. Zachodzi atoli kwestja, czy rozwojem jest tylko postępowy ruch naprzód, czy może także dążenie ludzkości do zdobywania coraz to lepszych warunków bytu — do szczęścia. Sądząc z krzyków rozpaczy, podnoszących się przeciw nieszczególnej w istocie organizacji społeczeństw dzisiejszych; sądząc po ogólnem niezadowolnieniu z istniejącego porządku rzeczy: zdaje się, że pojęcia rozwoju i szczęścia odbiegły od siebie bardzo a bardzo daleko. Zdaje się, że ostatecznie różnorodność rozwoju sprowadziła w końcu wzajemną walkę ze sobą wszystkich różnorodnych elementów, tak, że poczyna być wątpliwem, czy te składowe siły — mówiąc językiem mechaniki — które stanowią społeczeństwo, będą miały w ogóle jakąkolwiek wypadkową, wyrażającą szczęście społeczne.

W społeczeństwie ludzkiem mamy naprzód walkę klas, następnie walkę wyższych z niższymi, walkę nierównych stopni wykształcenia, walkę religij, walkę szkół filozoficznych, walkę szkół i doktryn ekonomicznych, walkę narodowościową, walkę kapitału i pracy, walkę konserwatyzmu z liberalizmem, wreszcie walkę obojga płci, a w pośród tego chaosu rozdział ludności na miejską i wiejską. Możnaż nazwać szczęśliwym taki stan rzeczy, że jeden współobywatel nie rozumie drugiego; możnaż mówić o szczęściu tam, gdzie jeden z nauczycieli ludu, kapłan, stawia coś jako prawdę objawioną, drugi równocześnie ogłasza to samo za fałsz!; — kiedy zabiegi jednej partji politycznej starającej się o szczęście pewnej grupy społeczeństwa muszą zarazem wyjść na niekorzyść innej grupy?

„Ba!“ — powie nam optymista, — tylko walka wytwarza postęp ogólny. Całość postępuje“. Zgoda, ale jednostki niszczeją; to zupełnie tak samo jak owo słynne sprawozdanie lekarskie: Operacja powiodła się znakomicie — pacjent umarł“.

Skoro społeczeństwo z hord myśliwskich koczujących rozwinęło się na wyższy stopień tj. do społeczeństwa rolniczego, a z tego znowuż do państwa przemysłowego, to chłop, który pozostał jeszcze na niższym stopniu kultury, i stanowi jakąś resztkę, musi albo zniszczeć zupełnie albo też — jak chce ewolucyjne prawo życia — musi wyrobić się na przemysłowca. A wyrobienia tego, tego rozwoju dokona gospodarstwo rolne wielkich posiadłości, które ma misję zniszczenia stanu włościańskiego. Tak przynajmniej utrzymuje pewna szkoła ekonomistów niemieckich, z którymi znowu p. Strindberg wcale się nie zgadza.

Ekonomiści ci dla udowodnienia swej tezy wybrali sobie kraj, w którym włościanin według ogólnego mniemania jest w położeniu o wiele lepszem aniżeli gdziekolwiekindziej w Europie; wybrali mianowicie Francję, gdzie włościanin tworzy tę jedyną ze wszystkich klas społeczeństwa, której nie dotyka ani konkurencja zagraniczna, ani przesilenia handlowe lub przemysłowe, i która wiedzie stosunkowo jeszcze najspokojniejszy ekonomiczny żywot.

Owóż utrzymują oni, że chłop francuski jest zrujnowany. I rozumują w ten sposób: „Prawem ewolucyjnem jest, że z rękodzieła rozwinął się przemysł maszynowy i t. zw. przemysł wielki; przeto musi także rolnictwo z drobnego, uprawianego ręcznie, rozwinąć się do uprawianego na wielką skalę rolnictwa — do przemysłu rolnego“.

Bardzo słusznie, tylko naprzód jest to już przestarzały sposób dowodzenia przez analogję, który dziś już zarzucono zupełnie. (Ziemia jest zaludnioną — *ergo* i księżyc musi być zaludniony); powtóre sprzeczne to jest z „prawem“ rozwoju, które wymaga różnorodności, podczas gdy w tej teorji rozwój rolnictwa ma być tylko powtórzeniem w nowej edycji rozwoju rękodzieł. Ale mniejsza o tę różnorodność, bo to — filozofja.

Rzeczona szkoła ekonomistów stara się swe twierdzenia oprzeć na faktach, a po ich zbiór udała się jak powiedzieliśmy — do Francji.

Gdyby się oparła była na datach wziętych z Niemiec, możeby i miała rację, jednakowoż nie aż do tego stopnia ażeby módz uogólniać swe zapatrywania na ogół ludzkości. Już bowiem w Anglji pod nazwą socjalizmu rolnego i pod egidą Chamberlaina wytworzył się właśnie bardzo silny prąd, który z całą energją występuje za wywłaszczeniem wielkich właścicieli i za parcelacją wielkich własności. We Francji zaś od r. 1789 i 1848 bez przerwy panuje tendencja przejścia z wielkich kultur rolnych do małych drobnych gospodarstw.

Ale posłuchajmy jak ta szkoła ekonomistów udowadnia swą tezę ze względu na Francję. Ażeby wykazać, że gospodarstwo rolne na wielką skalę jest korzystniejsze od kultur na małych kawałkach, przytacza ona, że w departamentach, gdzie przeważają wielkie obszary hektar ziemi wydaje więcej pszenicy aniżeli hektar ziemi w tych departamentach, gdzie gospodarstwo rolne jest rozdrobnione w ręku mniejszych właścicieli. Niestety, między departamentami wyliczonymi w rzędzie tych mających większe gospodarstwa znajduje się i departament *du Nord*. Tymczasem ten departament jest właśnie — zdaniem p. Strindberga — jednym z tych departamentów, gdzie ziemia najsilniej w całej Francji jest pokawałkowana, i gdzie na hektar obszaru przypada 213 mieszkańców. „Mała własność — powiada Leonce de Lavergne — jest tutaj w przewadze i zadziwiające wydaje rezultaty“. A zatem fakt który ta szkoła ekonomistów przytoczyła na swoje poparcie nie zgadza się z prawdą. Dodać do tego wypada grube omyłki w kombinacjach. Departamenta mające wielką własność wykazują więcej wydatku na hektarze; dobrze, czyliż jednak powodem tego musi być właśnie system wielkiego gospodarstwa, i czyż większy wydatek produktu jest zawsze i wszędzie wyrazem większego zysku? Do wspomnianych departamentów autor wlicza przeważnie wszystkie okalające Paryż; wszystkie one otrzymują mierzwę prawie bezpłatnie; jest to zatem wypadek wyjątkowy i jako przykład wzięty być nie może. Do gospodarstwa na wielką skalę należą także maszyny, pożyczki hipoteczne i sztuczne nawozy. Pytamy więc — powiada p. S. — dla czego ta szkoła ekonomistów nie odtrąca procentu wyższych wkładów i wyższych kosztów od dochodu *brutto?*

Rzeczywista suma byłaby wówczas niezawodnie daleko mniejszą. Należało także wziąć w rachubę tę okoliczność, że departamenta około Paryża mają najurodzajniejszą glebę (wapień i gips) i dopiero wtedy wypadało przekonać się czy na wyższy rezultat nie wpływa większa urodzajność, a nie system wielkiego gospodarstwa. Wtedy okazałby się rzeczywisty rezultat, naga prawda: że wszyscy wielcy gospodarze i dzierżawcy we Francji są zrujnowani, podczas gdy włościanin, gospodarz mały, utrzymuje się dobrze. W całej Francji — powiada p. S. — znam tylko jeden przykład gospodarstwa rolnego na rzeczywiście wielką skalę (z pługami parowymi i t. d.); jestto *ferme Colombier* pod Alençon. Jest ona własnością towarzystwa, które uprawia 400 hektarów ziemi 4 pługami parowymi. Każdy pług kosztuje 32.000 franków — które przez ośm miesięcy w roku przedstawiają kapitał zupełnie martwy. Towarzystwo ma co roku około 2500 franków straty. Oto nauka, którą podaje doświadczenie.

Atoli jest jeszcze jeden wielki błąd. Długi hipoteczne we Francji wzrosły od roku 1840 do 1876 z 12½ miljardów do 19 miljardów, co ma stanowić dowód, że stan włościański jest zrujnowany. Na to odpowiada p. S. tak: naprzód że przyrost 6½ miljarda od r. 1840 jest nie wiele znaczącym, powtóre, nie jest to dowodem ruiny stanu włościańskiego, chociaż nawet wiele z pożyczek hipotecznych od r. 1841 zaciągniętych wynosiło mniej niż 400 franków. Albowiem w r. 1871 subskrybowali włościanie więcej jak połowę zaciąganej wówczas przez Francję 6-miljardowej pożyczki na pokrycie kosztów wojennych mających się wypłacić Niemcom, czem złożyli dowód, że nietylko nie są zrujnowani, ale owszem posiadają oszczędności. Wiadomo jest, że francuzki chłop składa pieniądze i tylko wyjątkowo obraca małą część kapitału na przykupno gruntów lub sprawienie narzędzi, a zatem robi tylko małe inwestycje na cele produkcyjne. Pożyczki u niego przeto dowodem nie ruiny, ale owszem wzrastającego dobrobytu.

Z tego wszystkiego — kończy p. Strindberg — co mogłem zebrać z pism wiarygodnych, ustnych komunikatów i własnego doświadczenia, wynika, że chłop we Francji ma wszelkie widoki bytu, zaś przeciwnie, wielkiemu rolnictwu, grozi zupełna zagłada.

Zakład nar. im. Ossolińskich.

Wczoraj, jak donieśliśmy pokrótce w poprzednim numerze, odbyło się w wielkiej sali Bibljoteki Ossolińskich doroczne uroczyste posiedzenie.

Publiczności było bardzo niewiele, zdaje się z powodu bardzo przykrej aury, która wczoraj panowała. Zauważyliśmy jednak stosunkowo znaczną liczbę młodzieży, kilku profesorów uniwersytetu i kilka pań. Honorowe miejsce zajął JE. namiestnik p. Filip Zaleski.

Uroczysty akt zagaił wicekurator dr. Małecki, w zastępstwie Andrzeja ks. Lubomirskiego. Treść przemowy szanownego p. Małeckiego podaliśmy wczoraj. Wspomniał on o zaszczytnych odwiedzinach zakładu przez Najd. Następcę Tronu i JE. dr. Gautscha, poczem poruszył sprawę dewastacji majątku zakładowego, przeciw której zarządzono już wszelkie środki.

Ze sprawozdania o stanie zakładu, które odczytał skryptor p. Czarnik wyjmujemy następujące szczegóły:

Po śmierci ś. p. dr. Marcelego Madeyskiego objął syndykat zakładu dr. Henryk Szydłowski.

Katalog rękopisów i katalog realny druków, nad którem pracuje zarząd bibl. postąpiły już znacznie i trzeci tom ich zostanie niebawem oddany do użytku publicznego. W dziale numizmatycznym zajmował się dyr. Kętrzyński dalszem inwentarzowaniem i porządkowaniem monet polskich i doszedł w żmudnej tej pracy do czasów Zygmunta III.

Ofiarność publiczna na cele zakładu nie ustała. W ostatnim roku przybyło kilka ofiar bardzo cennych. Pewien obywatel, który nie chce być wymienionym, przysłał w depozyt 10 tomów (w rękopisie) źródeł do panowania Stefana Batorego, gromadzonych niegdyś przez Rykaczewskiego a mieszczących w sobie prócz rzeczy drukowanych także odpisy z ces. bibljoteki w Paryżu i British Muzeum, ze zbiorów ks. Czartoryskich, Kurnickich i innych. Dalej, p. Andrzej Lippus z Gródka nadesłał rękopis Jana Tomasza Józefowicza pt. „Leopoliensis archiepiscopatus historia ab anno 1614.“ Jest to jeszcze jedna redakcja dzieła, posiadanego już przez zakład w zbiorze rękopisów a znanego publiczności tylko z niezupełnego przekładu Piwockiego.

Z innych darów wymienić należy „Fragment rękopisu z w. XV, zawierający prawo magdeburskie,“ — dar p. Semeniuka z Biecza, i szereg listów Narcyzy Żmichowskiej, dar panny Wańczarowskiej we Lwowie.

Stosunki z innymi zakładami naukowymi utrzymują się zawsze przez wysyłanie i zamianę publikacyj i wypożyczanie wzajemnie dzieł naukowych.

Inwentarz dzieł drukowanych wzrósł do tomów 83.900, dubletów do 6.960, rękopisów 3.203, rycin 24.630, monet i medali polskich 8 021, suma zaś wszystkich monet wynosi 23.544.

W przeciągu roku wydano w pracowni naukowej 2391 czytelnikom 718 rękopisów, 5896 dzieł, 11,906 tomów. W czytelni przeznaczonej dla młodzieży i szerszej publiczności było czytających 13 982. Czytelnia dla publiczności była otwartą przez 223 dni, wypada więc na dzień 62 osób.

Pozwolenie wypożyczania książek do domu miało 244 osób, które wypożyczyły 4793 dzieł i 20 rękopisów.

Muzeum zakładu spełnia swe zadanie należycie i jest licznie odwiedzane. Zbiory jego powiększyły się nieznacznie, ale o kilka przedmiotów bardzo cennych, pochodzących częścią z darowizny, częścią z kupna.

Muzeum zwiedziło w ciągu ostatniego roku 2250 osób.

Zbiór motyli, nie wchodzący w zakres właściwy zakładu, został sprzedany uniwersytetowi za 600 zł,

Stan majątkowy zakładu wynosi: — Dochody w 1886 roku 27,061 zł. 49 ct., wydatki 25,622 zł. 9 ct. Ogólny majątek w nieruchomościach i zbiorach wynosi 502.308 zł. 80 ct., w gotówce 6083 zł. 54 ct., w papierach 202,369 zł. 37 ct.

Wreszcie wyjaśnia sprawozdanie kwestję funduszów zakładu narodowego im. Ossolińskich, o których mylne między najszerszą publicznością panuje mniemanie. Fundator zakładu Jerzy Ossoliński nie zapisał, jak ogólnie mniemają, całego majątku zakładowi, lecz córce swojej wydanej za Broniewskiego i tylko dochód roczny 7000 zł. z dóbr swoich (18 wsi) zabezpieczył ufundowanemu przez się zakładowi. Doliczywszy do tego dochód nie wielki z czynszów gmachu, w którym zakład się mieści i przychód z drukarni, dochód ogólny wynosi niespełna 30,000 zł., z których zakład wszelkie wydatki administracyjne pokryć musi. Wobec tego na zbiory naukowe, na pomnożenie ich, pozostaje kapitał bardzo niewielki i rozszerzanie bibljoteki i czytelni takie, jakie leżałoby w interesie publicznym nie może mieć miejsca mimo najusilniejszych starań zarządu. Wobec tego wszelkie dary publiczności bywają dla zakładu bardzo pożądane.

Sprawozdanie powyższe przyjęto do wiadomości, poczem p. Władysław Bełza odczytał rozprawę dra Kętrzyńskiego „O nieznanej epopei z XV wieku,“ którą audytorjum z wielkiem zajęciem do końca wysłuchało.

List do Redakcji.

Ze wsi, 4 października.*)

Szczęśliwi ci, którzy w miastach mieszkają, szczęśliwi, bo mogą bezpiecznie chodzić po ulicach, bezpiecznie przesiadywać w swym domu, pewni życia i mienia swojego. Tam na każdym kroku strzeże ich policja miejska, tam strzegą żandarmi, a w potrzebie mają i wojsko na zawołanie.

A jakże to na wsi inaczej zupełnie!

Dzisiejsze stosunki wiejskie jedno określa słowo — anarchja. Anarchja tu zupełna (z małemi bardzo wyjątkami), anarchja pod każdym względem.

Pozwólcie, że nakreślę tu wierny obrazek stosunków wiejskich, wierny, bo od lat 13 żyję na wsi, patrzę z bliska na wszystko, dotykam się wszystkiego rękami mojemi.

Zajrzyjmy pod dach słomiany, w kółko rodzinne. Jest tam matka wdowa i trzech chłopaków, dwaj z nich już dorośli. Bizuny te nikogo się na świecie nie boją. Nie boją się matki, bo ta na ich ukaranie nie ma już siły. Nie boją się urzędu gminnego, bo właściwie po wsiach urzędu nie ma, bo wójt, który nie umie czytać ani pisać — tylko pić — nie ma żadnej powagi, nieporadny zupełnie. Nie boją się władzy wyższej, bo ta daleko. Ani w domu, ani za domem nie ma nikogo, coby mógł ich swawolę ukrócić. To też tacy hulają po wsi bez żadnej przeszkody. Przyjdzie noc, a wtedy oni panami wszystkiego. Zmawiają się w bandy i wyprawiają psoty, jakie im tylko podda ich fantazja najgorsza. A więc tu wyważą drzwi, tam biją okna, tam się zakradną do dziewczyny, co śpi w stajni przy bydle, ówdzie obedrą drzewa z owoców. Robią, co się im żywnie podoba. Bo któż na wsi da radę kilkunastu bandytom? Począwszy od wójta, wszystko drży przed nimi. A to wszystko jest naprawdę. Ot tu kiedyś śpię spokojnie, aż tu naraz przebudza mnie dziki jakiś śpiew, a była to godzina 2 po północy. Słucham, i okazuje się, że ta cała hałastra przechodzi przez wieś z takiem śpiewaniem, a za to ani im włos nie spadł z ich głowy.

Ale centrum wsi to karczma. Tam schadzki, tam sądy wójtowskie, tam narady wszelkie. Tam ma wstęp każdy i o każdej porze. Bo nie trzeba się łudzić, że ustawa przeciw pijaństwu ma jakiekolwiek na wsi zastosowanie. Tyle, że przybita wisi na drzwiach karczemnych, na większą zniewagę i urągowisko. Bo tu sam wójt daje przykład z siebie, że ta ustawa nie ma znaczenia. Całe noce nieraz przesiaduje w karczmie i pije z radnymi. A za przykładem wójta rozpija się młodzież. Okradając rodziców, wynosi zboże, jaja, słomę do żyda i pije za to do woli. A kiedy się upije, to i wójta obije i z karczmy wyrzuci. A uchowaj Boże, aby komu, co czarno ubrany, wypadło wtedy obok karczmy przechodzić!

Jeśli cały odejdzie, niech za to Bogu dziękuje, bo najczęściej spotka go obelga, albo czynna zniewaga. A nie jest to urojeniem, co piszę. Tu kiedyś wypadło mi właśnie przebywać w jednem miejscu koło karczmy drogę; było to święto, godzina 10½ w nocy, a słyszałem, jak koły z płotu wydarte padały koło mnie, które za mną rzucano.

A jak ustawa przeciw pijaństwu, tak i ustawa polowa nie znana na wsi zupełnie. Są tu niby prawda polowi zaprzysiężeni, ale sam wójt nieraz nie umie ich wymienić. Tu każdy jest polowym, kto chce zbierać, co zasiał na polu.

I cóż nam po ustawach, skoro każda z nich jest tylko na papierze, wyjąwszy jednej o polowaniu, której starostwa pilnie przestrzegają z pomocą obywateli.

I to jest, co lud nasz do reszty demoralizuje. Wychodzi ustawa za ustawą, wychodzą nakazy z Rad powiatowych przeróżne, a wójt to wszystko chowa do skrzyni, ani mu w głowie, aby to wykonać, i nikomu nie jest w głowie, aby wójta przymusić do wykonania wyższych nakazów.

*) Od jednego z bardzo poważnych i poważanych kapłanów otrzymujemy ten list. Może on i jest czarny, może i za ostry, ale to twierdzenie jego, iż lud nasz oduczyliśmy od poszanowania ustaw i władzy, jest prawdą, którą otwarcie powinniśmy sobie powiedzieć, jeżeli mamy szczery zamiar naprawienia istniejących stosunków. *Przyp. Red.*

Z DNI TRWOGI.

Szkice z podróży

przez

Dr. HOLUBA.

(Dokończenie).

Strach mnie opanował na myśl o tej nocy, a jednak wypadała mi jeszcze inna praca, mianowicie trzeba było odważyć się i zostawiając obóz przejść samemu przez bagna, aby ile możności jak najwcześniej o świcie przekroczyć granicę i poprosić o pomoc Portugalczyków, bawiących w owych stronach w celach handlowych. Wszelako porzuciłem tę myśl, bo cóżby się stało bezemnie w obozie w razie napadu wrogów; a także z drugiej strony z powodu mgły unoszącej się nad bagnami nie mogłem nawet widzieć gwiazd. które mi jedynym przewodnikiem mogły być w tej drodze; w dodatku byłem przekonany, że nasłuchiwanie w nocy dla mnie o wiele było łatwiejszem niż dla innych. bo życie śród tej dzikiej natury zaostrza szczególnie te zmysły, które w skutek zwyczajów świata cywilizowanego niedostatecznie ćwiczone o wiele więcej są przytępione.

Owej nocy, której chciałem przedostać się sam na północ, aby u bawiących tam Portugalczyków żądać pomocy, rozłożył jeden z pasterzy w mrowisku termitowem ogień, od którego zajęła się trawa, a silny orkan popędził ogień lotem błyskawicy i wkrótce powstał olbrzymi pożar, rozciągający się na kilka kilometrów szerokości. Pożar ten był dla nas pochodnią i owej nocy przyniósł nam ratunek. Z powodu przychylnego wiatru pożar nie mógł nam zagrażać, natomiast jego blask pozwalał obserwować wszelkie ruchy napastników, którzy teraz także mogli przyjść do przekonania, że my się nie damy tak łatwo wyrznąć i że zbliżanie się ich z bronią w ręku śród takiej nocy będziemy uważali za wyzwanie.

Jeżeliby się Muszukulumbowie byli ośmielili do stąpienia na wolne miejsce pomiędzy nami a najbliższemi mrowiskami od strony wsi, to — o ile myśmy ich poznali — byłoby to połączone z równoczesnem rzuceniem dzid czyli rozpoczęciem kroków nieprzyjacielskich. Gdyśmy się tedy wszyscy zebrali po stronie namiotu zwróconej ku nieprzyjacielowi i przy blasku pożaru przekonaliśmy się, że nieprzyjaciele ciągle się jeszcze gromadzą i że z tyłu nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo, przywołałem panią Różę i wszyscy rozdzieliliśmy się wzdłuż strony obozu zwróconej ku nieprzyjacielowi.

Olbrzymia łuna po prawej stronie od nas, rozciągająca się ku południowi i południowemu zachodowi, przedstawiała groźny ale zarazem najpiękniejszy widok w swoim rodzaju z pomiędzy tych, które w liczbie przeszło dwustu widziałem na równinach i górach, w dołach i lasach podczas długich moich wędrówek po Afryce.

Niebo nad nami na północ i zachód było przysłonięte czerwonawą, ku wschodowi bladnącą leciuchną mgłą, przez którą — pomimo, iż coraz bardziej się wyjaśniało — tylko tu i ówdzie przeświecały gwiazdki.

Czerwonawe światło pożaru, odbite od lekkich chmurek unoszących się nad okolicą, oświecało coraz jaśniej wieś całą, nasz obóz i pozycję nieprzyjaciela na przestrzeni zasianej gęsto nasypami termtów i wtedy to nieryknżne początkowo kształty zarysowały się wyraźnie jako postacie Maszukulumbów, którzy w wielkiej liczbie ściśnięci, znajdowali się przy każdem mrowisku.

Z oddali syczała i trzaskała olbrzymia sucha trawa, objęta ogniem, a burza miotała snopy iskier wzlatających do góry; chwilami zahuczało przepełnione dymem powietrze hukiem podobnym do dalekiego ognia plutonowego: to pożar ogarnął nagle gąszcz trzcinowy i szumi w nim, huczy, szaleje z największą wściekłością.

Po niejakim namyśle zdecydowałem się na następującą taktykę; uznałem za najlepsze dać nieprzyjacielowi zrozumieć, żeśmy jego zbliżanie się spostrzegli i czekamy nań dobrze przygotowani, aby go przyjąć w należyty sposób.

W tym celu podnieśliśmy się szybko na dany znak tak, że karabiny nasze i bagnety w ogniu zabłysły jako najłatwiej zrozumiała rozmowa telegraficzna z Maszukulumbami. Podobnie szybko usiedliśmy następnie i to powtarzaliśmy dopóty, dopóki nie zdawało się nam, ze nieprzyjaciel nasz spostrzegł i naszych zamiarów łatwo się domyślił; następnie rozeszliśmy się na nasze dawne posterunki, gotowi każdej chwili zwrócić się ku stronie najbardziej zagrożonej. Na szczęście to już owej nocy nie było potrzebne.

Postacie naszych wrogów podniosły się ze swych leżących pozycyj, połączyły się w małe kupki i odeszły zwolna opuszczając pole. W godzinę później nie widzieliśmy przy blasku ognia ani jednego Maszukulumba. Na tę noc byliśmy wolni od niebezpieczeństwa.

Coraz wyżej wznosiła się łuna na południu, wkrótce jednak także i na zachodzie; coraz jaśniej oświecone były obie wsie niedalekie i cała przestrzeń między niemi a nami; bardzo wyraźnie połyskiwały w bladoróżowem świetle pewne punkta leżące między nami a chatami wioski; w blasku szalejących płomieni bielały smutno i wyraźnie blade czaszki wbite na pal.

Kiedy się Maszukulumbowie oddalili, ustawiłem tylko jednę straż na dalszą część nocy, a ponieważ Oswald czuł się jeszcze ciągle po przebytej febrze niedobrze, więc sam objąłem straż z Leebem; w dwie godziny później czuwali Fekete i Muszemani. Spoczywający musieli zachować zwykłe środki ostrożności t. j. spać z bronią w ręku i pasem z ładunkami na ciele a karabiny leżały obok, aby w każdej chwili być gotowym do obrony.

Zaledwie napastnicy cofnęli się do wsi, pojawiły się hyeny, zająwszy miejsce tamtych, wspinały się na mrowiska termitów i z nich schodziły, a wreszcie skierowawszy się ku mieszkaniom dzikich zniknęły nam z oczu. Kiedy na mnie przyszła kolej spoczynku i rzuciłem się na posłany koc, nie łatwo mi było zasnąć i czuwałem jeszcze, kiedy Fekete dotykając mnie assagajem dał umówiony znak, że mnie potrzebuje.

Róża spała mocno, choć — jak się zdawało — dręczona brzydkiemi snami; ciągle bowiem palce jej prawej ręki chwytały za leżący u boku karabin, chwilami silnie go ściskały, to znowu puszczały, tak że — aby przerwać ciągły stuk — musiałem w końcu wyjąć jej karabin z ręki i włożyć natomiast próżną pochwę bagnetu. Zbliżywszy się do Feketego poznałem jednym rzutem oka, co się stało; oto hyeny wróciły znowu wietrząc nasze kozy, które pomiędzy Feketem a Muszemanim, leżały u jednego ogniska ale nie bez straży; przy nich zwykł sypiać nasz roztropny i wierny pawian, dobre zwierzę które zabraliśmy z sobą z Transwaalu i wychowali. Towarzyszył on nam jak pies, idąc z nami przez całą drogę. Jestem mężczyzną a jednak często od łez się wstrzymać nie mogłem, kiedy mi przyszedł na myśl gwałtowny koniec tego do śmierci nam wiernego stworzenia.

Zachowanie Pita — takie imię miał pawian — okazywało, że się w pobliżu coś dzieje; dwie kozy przestraszone obecnością hyen pobiegły ku pobliskiemu bagnu, a Pit wyprostowany szczekał i kłapał zębami z głową zwróconą w stronę, gdzie było widać kręcące się hyeny. Pit pomógł mi przypędzić kozy napowrót i potem przywiązaliśmy je do kawałka drzewa, aby nie mogły uciekać.

Pit nie bał się największych psów i nie ustraszał się nawet przed hyenami, jeżeli mu dobry jego przyjaciel mały piesek „Daisy“ pomagał. Hyeny przychodziły tak blisko do Feketego, że obwąchiwały powieszone na kołkach zalutowane kasety z ładunkami i dopiero, gdyśmy poczęli rzucać do nich tlejące polana, oddaliły się co prędzej. Feketego zaś napadła tą razą silniejsza pokusa niż przedtem Oswalda i prosił mię ciągle, abym mu pozwolił strzelić. „Nie, Fekete — odpowiedziałem — to nie możebne. Maszukulumbowie użyją strzału za nowy pretekst do kroków nieprzyjaźnych i będą twierdzili, że kula dotarła aż do ich chat, czy ci zdarzenie z psem wyszło już całkiem z pamięci?“

Zaledwie hyeny po drugi raz od nas odeszły dało się słyszeć głośne szczekanie psów z strony wsi dowodzące, że hyeny zbliżyły się do wsi. W pobliżu każdej prawie wsi w kraju Ma… szu żyje jedna para hyen centkowanych; ścierwo krów, schwytane na pastwisku cielęta a w zimie liczne w płytkich kałużach wymarłe ryby stanowią po największej części ich żywność, często jednak wdzierają się przez palisady, wystraszają woły z podwórza i zabijają je; żaden bowiem Maszukulumb nie przyjdzie napadniętemu zwierzęciu z pomocą, choćby to była jego krowa najulubieńsza i choćby to się działo pod jego domem. Tak także i owej nigdy dla nas niezapomnianej nocy wypłoszono jednego wołu z ogrodzenia, który usiłował ratować się w pobliskiej sadzawce, ale po półgodzinnej walce uległ nareszcie i stał się łupem drapieżców. Z dzikich zaś nie widzieliśmy już więcej nikogo i tylko szczekanie psów dowodziło, że tam w tych chatach na górze spali także ludzie. Biednemu wołowi byłbym chętnie przyszedł jednym strzałem w pomoc, ale tej nocy nie można było strzelić ani razu, chyba dla obrony własnej. Starałem się bowiem uniknąć wszelkiego powodu do starcia i z broni palnej robić użytek dopiero w ostatniej potrzebie.

Już zaczynało szarzeć, kiedy się położyłem, aby choć pół godziny się zdrzemnąć, kiedy jednak złocisty wóz Feba zajaśniał na niebie, byliśmy już znowu wszyscy pod bronią, bo we wsi wbrew zwyczajowi — lubią oni bowiem spać bardzo długo — zebrało się już wielu uzbrojonych, którzy wywijając włóczniami i głośno krzycząc próbowali na nowo nas straszyć.

zów. I oto doszło już do tego, że lud dziś oporem już staje przeciw ustawom, czego smutny przykład mamy na ustawie drogowej. Tak dalej tylko, jeszcze parę lat, a w każdej wsi potrzebna będzie załoga wojskowa, aby ludzie na wsi żyć mogli, aby tu był ład, karność i posłuszeństwo. A tych owoców doczekaliśmy się z niedołężnej naszej autonomji, bo niedołężna autonomja nauczyła lud wszelką powagę deptać nogami.

Mnie się wydaje, że dziś jedna tylko jest jeszcze władza i powaga, co podatki nakłada i umie je ściągać, o resztę nikt się już nic troszczy.

Dla uzupełnienia tego obrazu smutnego nie zawadzi wspomnieć, że administracja majątków gminnych i grosza gminnego najgorsza. Nie ma prawie wsi, gdzieby nie było defraudacji wynoszącej setki. Bo wójt umie kraść i pić. Kradnie przy poborze podatków i dodatków różnych, kradnie każdy grosz karny i przepija go. I nic dziwnego, skoro żadna nad nim nie istnieje kontrola. Bo jeżeli na lat dziesięć raz przyjedzie ktoś z Rady powiatowej na szkontro, to i to dopiero na usilne prośby okradanych.

I cóż — czy to złe ma róść dalej i dalej i wyróść w olbrzyma? Czy nasze wsie mają się stać jaskiniami łotrów i opryszków? A tak się stanie, jeśli ci, co władzę dzierżą, nie zaradzą złemu.

A rada na to złe taka. Przedewszystkiem niechaj ci, do których to należy, mają staranie, aby na wójtów nie obierano indywidua podłe, głupie, bez nóg i bez głowy. A zwykle na wójtów tacy wychodzą, bo z takim wójtem bardzo gminie wygodnie. Jeśli się nie mylę, to polowy musi mieć świadectwo moralności, ażali odpowie w swoim urzędzie, a na wójta takie świadectwo zbyteczne. Rada go wybiera, starostwo zatwierdza, nie pytając nikogo, co to za człowiek, w którego ręce składa się władzę tak ważną i rozległą.

Powtóre: niechby Rady powiatowe zadały sobie odrobinę pracy i bodaj w kilku godzinach, w zarysach głównych pouczały wójtów, jaką mają władzę, jak ją wykonywać, jak sobie radzić mają w wypadkach oporu i nieposłuszeństwa. Bo nieraz wójt i dobry nie umie sobie z hajdamakiem poradzić. Cytuje go przed urząd, a on nie stanie, a wójt już głowę stracił i nie wie co począć. Skarze go na karę, on jej nie zapłaci, a wójt znów głowę stracił i nie wie co począć. Rozkaże na pewien dzień naprawę dróg, a tu nikt mu się nie stawi, i znowu wójt stracił głowę i nie wie co począć. Niegdyś kij w ręce wójta był wójtem właściwie. Ten kij i powagę nadawał wójtowi i posłuch wymuszał mu w gminie. Dziś bez kija wójt każdy głupi zupełnie.

Po trzecie: winno wyjść jakieś rozporządzenie, że wójt pijaństwu oddany nie może wójtować. A zdaje się, że jest i taki paragraf, tylko jak i inne na papierze.

Po czwarte: w każdej wsi powinna być kancelarja gminna i areszt. A tu proszę zebrać daty statystyczne w tym względzie, a okaże się, że zaledwie w setnej wsi jest areszt i kancelarja. Nie ma kancelarji, więc w karczmie całe urzędowanie, a takie urzędowanie wygląda mi jak lis na pokucie. To przecie ironja urzędowania. Nie ma aresztu, wszystko więc na wsi bezkarnie uchodzi. Mnie ogarnia niezmierne zdziwienie, kiedy czytam, jak się mnożą sądy po miastach i miasteczkach, a jak nikomu na myśl nie przyjdzie, aby na wsi był jaki taki areszt. Wójt sprężysty i areszt na wsi, a obejdzie się bez pomnażania sądów powiatowych.

Po piąte: niechaj Rady powiatowe urzędują nietylko od zielonego stolika, ale do każdej wsi choć raz na rok zajrzą, aby się przekonać o ich gospodarce gminnej. Inaczej lepiej zwinąć te Rady, a zaoszczędzi się tysiące.

Nakoniec byłoby mojem zdaniem rzeczą pożyteczną dopóty nowych ustaw nie uchwalać, dopóki już uchwalone nie wejdą w życie i zastosowanie. Bo to rzecz śmieszna, żeby nauczyciel w szkole uczył chłopaka reguły trzech, kiedy ten chłopak nie wie, ile jest dwa a dwa.

Oto obraz stosunków, śród jakich po wsiach żyjemy. Każdy, co na wsi przebywa, przyzna mi, że nie dobierałem sztucznych kolorów do mego obrazu; kolory to naturalne zupełnie. Jak heloci niegdyś, tak my dziś na wsi bez prawa i opieki.

Oto lekarstwo na zaradzenie gorszym jeszcze w przyszłości stosunkom, na wykorzenienie złego. Lekarstwo to pochodzi ze wsi co prawda, ale proszę pamiętać, że gęsi na kapitolu rzymskim ocaliły miasto od nieprzyjaciela.

Rada miasta Lwowa.

(Sł.) Posiedzeniu wczorajszemu przewodniczył z powodu nieobecności prezydenta Mochnackiego, który jest lekko chory, wiceprezydent dr. Gryziecki.

Przed przystąpieniem do porządku dziennego zabierał głos p. Zacharjewicz do interpelacji w sprawie szkoły przemysłowej i budowy gmachu teatralnego. Jeszcze przed dwoma laty uwiadomiło ministerstwo oświaty Reprezentację miejską, że gotowe jest otworzyć we Lwowie szkołę przemysłową, jeżeli tylko kraj i gmina miasta Lwowa przyczynią się odpowiedniemi datkami do utrzymania tej szkoły. Od owego czasu upłynęło 2 lata, a kraj i gmina nie porozumiały się nawet ze sobą w tej tak ważnej sprawie, która skutkiem tego leży w zupełnem zapomnieniu, jak gdyby nikomu na istnieniu szkoły przemysłowej we Lwowie nie zależało.

Podobnie ma się rzecz z teatrem. Już dawno postanowiono w zasadzie budowę nowego gmachu, a Rada miejska tutejsza uchwaliła odkładać corocznie po 10 tysięcy zł. na cel powyższy. Równocześnie miały być wdrożone prace przedwstępne i ku temu celowi została wybrana osobna ankieta. Wszelako od owego czasu ankieta nie zebrała się jeszcze ani razu i rzecz cała odwleka się tym sposobem w nieskończoność.

W odpowiedzi na powyższe interpelacje oświadczył przewodniczący, że ankieta teatralna ma właśnie za kilka dni posiedzenie, i że tak co do tej sprawy jak i co do szkoły przemysłowej będzie mógł dać objaśnienie na następnem posiedzeniu.

Radny Bardasz zapytuje przewodniczącego, czy zarząd nowozbudowanej linji kolejowej Lwów-Bełzec nie zaprosił Reprezentacji miejskiej na uroczystość otwarcia ruchu i czy w ogóle uwiadomił ją, kiedy otwarcie ruchu nastąpi.

Przewodniczący odpowiada, że żadne uwiadomienie tego rodzaju nie nadeszło, radny Kędzierski zaś wyjaśnia, że o ile mu wiadomo, żadnego uroczystego otwarcia tam nie będzie, lecz po prostu w pewnym oznaczonym terminie ogłoszony zostanie porządek jazdy i ruch się rozpocznie.

Poczem przystąpiono do porządku dziennego. Pasmo gruntu na rogu ulicy Żółkiewskiej i placu Krakowskiego pozostałe po zburzeniu domu Weinrebów powierzchni 55 sążni kw., uchwalono sprzedać Abrahamowi Dienowi za 11.011 zł. 26 ct.

Po załatwieniu kilku rekursów budowniczych przyszedł pod obrady zajmujący spór o grobowiec, którego referentem był p. Ładoś. Rzecz się miała następująco:

W styczniu br. umarł we Lwowie niejaki Aleksander Nałęcz Morawski, człowiek żonaty, który wszelako z żoną swą od dłuższego czasu nie żył.

Pogrzebem tedy zajęła się nie żona, lecz siostra zmarłego Marja, przełożona tutejszego klasztoru Franciszkanek. Z jej tedy polecenia i za jej pieniądze zakupił przedsiębiorca pogrzebowy Opuchlak od Magistratu 4 sążnie kwadr. ziemi na cmentarzu Łyczakowskim i zbudował tam grób, w którym Aleksander Morawski został pochowany. W kilka tygodni później umarł inny Morawski imieniem Florjan, kuzyn tamtego i rodzina cała Aleksandra Morawskiego chciała go pogrzebać w tym samym grobie, w którym już spoczywał Aleksander. Sprzeciwiła się temu jedynie wdowa po Aleksandrze, która ani za życia ani po śmierci mężem się swym nie troszczyła i wniosła do Magistratu podanie z prośbą, aby nie pozwolono złożyć ciała Marjana obok Aleksandra. Magistrat wejrzawszy do swoich aktów i znalazłszy tam notatkę, iż grobowiec ów nabyty został przez Opuchlaka dla Aleksandra Morawskiego, nie mógł żonie tegoż Aleksandra, jako jego spadkobierczyni odmówić prawa dysponowania grobowcem i nie zezwolił na złożenie Florjana w grobowcu zbudowanym przez Aleksandra. Tak tedy Florjan pochowany został gdzieindziej w zwykłym grobie kopanym.

Przeciw temu orzeczeniu Magistatu wniosła rekurs zakonnica Marja od Krzyża Morawska — twierdząc, iż grób nabyty z jej polecenia i za jej pieniądze jest jej własnością i zastrzega sobie wyłączne prawa do dysponowania nim.

Sekcja IV Rady trzymając się ściśle przepisów ustawy i aktów magistrackich orzekła, że gdy nabywcą miejsca pod grobowiec jest Opuchlak, więc on ma być uważany za wyłącznego właściciela i dla tego przedłożyła Radzie wniosek, iżby jemu tylko przyznano prawo dysponowania grobem. Jeżeli tak się stanie, słuszne pretensje Marji Morawskiej mogą być zaspokojone w łatwy sposób, bo Opuchlak swoje prawo własności może na nią przelać drogą cesji.

Nad tą kwestją długa toczyła się debata. Jedni występowali za tem, aby prawo „własności" grobu przyznano Marji, siostrze Aleksandra Morawskiego, inni, aby kwestję zostawić na boku, bo rozstrzyganie jej należy do sądu, a nie do Rady, jako władzy administracyjnej, która w obecnej chwili może tylko tyle orzec, kogo uznaje za uprawnionego do dysponowania grobowcem.

Daremne były jednak wywody p. radzcy Duniewicza i usiłowania przewodniczącego. — Reprezentacja przychyliła się na stronę pierwszego zapatrywania.

Nastąpił wybór 20 delegatów.

Wybrani zostali pp. Łukawski, Piatkowski, Bardasz, dr. Byk, Dymet, dr. Roszkowski, Schayer, Walichiewicz, Gołąb, Gall, Janowski, Michalski, Świsterski, Aleksandrowicz, dr. Witz, Kochanowski, dr. Schaff, Getritz, Głodziński i Stokowski.

Przewodniczący zarządził następnie wybór pierwszego delegata.

W pierwszem głosowaniu otrzymał dr. Roszkowski 22 głosy, Walichiewicz 26, Szayer 6, Bardasz 1, Dymet 1.

Ponieważ nikt nie otrzymał absolutnej większości głosów, więc przystąpiono do drugiego głosowania, w którem dr. Roszkowski otrzymał 27 głosów, Walichiewicz 26, Schajer 1.

Gdy i tym razem nikt nie uzyskał dostatecznej liczby głosów, więc miano przystąpić do wyboru ściślejszego między Walichiewiczem a Roszkowskim. Z powodu spóźnionej pory jednak i małej liczby obecnych, zamknął przewodniczący posiedzenie, odkładając wybór do przyszłego tygodnia.

KRONIKA.

Lwów, dnia 14 października.

Mianowania w urzędach podatkowych. W skutek pomnożenia urzędów podatkowych o 12, zamianowała krajowa dyrekcja skarbu potrzebną liczbę poborców, kontrolerów i adjunktów.

Poborcami mianowani zostali: Korytowski Emil do Leżajska, Lichoń Franciszek do Ustrzyk dolnych, Waligórski Jan do Zborowa, Kurzeja Piotr do Brzeżan, Kallaus Ludwik do Gorlic Kyryczyński Gabrjel do Strzyżowa, Kuliński Henryk do Myślenic, Smrza Adolf do Halicza, Westcherek Edward do Mikuliniec, Kwieciński Feliks do Peczyniżyna, Hammer Jan do Horodenki, Sikora Franciszek do Niżankowiec.

Kontrolerami mianowani zostali adjunkci podatkowi: Dąbrowski do Bochni, Kulmatycki do Rohatyna, Zacharjasiewicz do Żydaczowa, Ludwik Smrza do Horodenki, Oppenauer do Jaworowa, Sobolewski do Tłumacza, Wagner do Czortkowa, Listkiewicz do Nowego Targu, Czajkowski do Zborowa, Górnisiewicz do Skolego, Mossoczy do Niżankowiec, Herbert do Wieliczki, Połypiak do Ustrzyk dolnych, Ziahauer do Mikuliniec, Slusarek do Strzyżowa, Kraus do Cieszanowa, Szeliga do Leżajska, Zembrzycki do Podgórza, Kaniowski do Trembowli, Gutowski do Peczyniżyna, Nowicki do Mościsk, Switalski do Niska, Jaroszewski do Halicza i Niedzielski do Skałatu.

Adjunktami mianowani zostali praktykanci podatkowi: Rudy Jan, Makohoński Leon, Koblański Michał, Schischeimer Edward, Podlaszecki Izydor, Kołtunowski Władysław, Biłyk Filip, Przywoźniczek Franciszek, Nawrocki Seweryn, Sokulski Stanisław, Budziński Bronisław, Hlebowicki Mieczysław, Kacz Jan, Nechaj Jan, Filarski Bolesław, Mossakowski Władysław, Dąbski Konstanty, Samulski Franciszek, Dulewski Zdzisław, Keller Herman, Hischtin Wład., Lipowski Maciej, Saganowski Henryk, Mechowicz Aleksander, Hilewicz Antoni, Peniszkiewicz Piotr, Mazurkiewicz Kornel, Tompelski Józef, Zajączkowski Stanisław, Ostrowski Ludwik, Nodzeński Stefan, Mardarowicz Jan, Bożemski Leopold, Kopystyński Kazimierz, Czapliński Franciszek i dyetarjusz Chomocki Grzegorz.

Natomiast przeniesieni poborcy Grudnicki Aleksander z Brzeżan do Skolego i Werner Karol z Gorlic do Podgórza, zaś kontroler Żurawski Franciszek ze Skałatu do Krakowa.

Przeniesienia. Lwowski c. k. wyższy sąd krajowy przeniósł: prowadzącego księgę gruntową przy c. k. sądzie obwodowym w Tarnopolu, Władysława Bartoszyńskiego, na jego prośbę w dotychczasowym charakterze służbowym do c. k. sądu obwodowego w Przemyślu i nadał kancelistom dla prowadzenia ksiąg gruntowych, Wilhelmowi Rafałowskiemu. przy c. k. sądzie obwodowym w Złoczowie, i Józefowi Biskupowi, przy c. k. sądzie powiatowym w Stryju, posady prowadzących księgę gruntową, a to pierwszemu przy sądzie obwodowym w Złoczowie, drugiemu zaś przy sądzie obwodowym w Tarnopolu.

P. Antoni Wrotnowski wniósł do Wydziału krajowego pisemne podanie o dymisję z posady pierwszego Dyrektora Banku Krajowego. Rzecz ta rozstrzygnie się na dzisiejszem posiedzeniu Wydziału, a jeżeli po myśli p. Wrotnowskiego, to ustąpi on z posady dnia 1 kwietnia 1888 r., a wtedy przystąpi zapewne Wydział do reorganizacji Banku.

Z życia towarzyskiego. Dnia 23 b. m. odbędą się w kościele Wotywnym we Wiedniu zaślubiny hr. Hugona Kalnoky'ego de Köröspatak, majora i szambelana dworu, brata ministra spraw zewnętrznych, z hrabiną Mensdorf-Pouilly.

Dnia 15 b. m. o godz. 12 w południe w kościele OO. Bernardynów we Lwowie pobłogosławiony zostanie związek małżeński p. Ludwika Bereżyńskiego, adjunkta w Krakowskiem Towarzystwie wzajemnych ubezpieczeń z panną Zofją Bielańską, córką szefa oddziału życiowego w temże towarzystwie.

Złożenie ślubów zakonnych. — Książę Edmund Radziwiłł, były wikary w Ostrowie, złoży dnia 16 b. m. uroczyste śluby zakonne w klasztorze obserwantów Benedyktynów w Beuron.

Szkoła deklamacji. P. Stanisław Konopka, znany recytator, ma zamiar założyć w naszem mieście szkołę deklamacji. Myśl ta ze względu, że brak podobnej instytucji we Lwowie odczuwać się daje, znalazła wielu zwolenników.

Z Komitetu Towarzystwa Groszowego otrzymujemy następujące pismo z prośbą o umieszczenie:

„Prosimy Szanownych Członków o łaskawe odesłanie w tych dniach zaległych puszek groszowych, które wypadało wymienić we wrześniu. Dochód z puszek przeznaczony jest na zakupienie żywności na zimę dla ubogich, zostających w Domu pracy na Stryjskiem. Rychłe nadesłanie ofiar bardzo jest pożądanem."

Komitet Domu pracy przesyła podziękowanie JW. Rozalji Agopsowiczowej za datek 5 zł. Bóg zapłać za miłosierny uczynek.

Doktorat wszech nauk lekarskich na uniwersytecie wiedeńskim otrzymali prof. Andrzej Buraczyński i Jan Kurowiec z Galicji

Sprawozdanie poselskie. Z Jezierzan nam piszą pod d. 11 października. Jak ważnem jest dla ludności naszego kraju składanie sprawozdań z czynności poselskich, tak przez posłów do Sejmu, jakoteż delegatów do Rady państwa, mieliśmy dowód przy objeździe w pierwszych dniach b. m. posłów JW. hr. Mieczysława Dunina Borkowskiego, posła do Sejmu i JW. szambelana Antoniego Chamca, posła do Rady państwa, którzy z całem poświęceniem we wszystkich miasteczkach zacząwszy najsamprzód w powiecie Borszczowskim a później i w Zaleszczyckim w obec licznie zgromadzonych wyborców i miejscowej ludności sprawozdanie z dokonanych czynności i poglądy na sprawy w nadchodzącej sesji na porządku dziennym będące swoim wyborcom wypowiadali.

To też ludność z wielkim zapałem i owacjami przyjmowała swoich posłów.

Prócz przyjęcia doręczyły niektóre miasteczka obu posłom dyplomy obywatelstwa honorowego, a miasto Jezierzany chcąc uczcić swoich dostojnych Gości, postawiło bramę tryumfalną, przy której ochotnicza straż pożarna miejscowa w obec wielkiego natłoku ludności porządek utrzymywała, a po przywitaniu posłów przez Rady gminne, miasta Jezierzan i wsi Jezierzanki i Głęboczka — jakoteż po przemówieniu pp. posłów odprowadziła ich do urzędu gminnego, gdzie dostojni posłowie omawiali sprawy państwa, kraju a w szczególności okolicy, którą reprezentują. Tam też doręczono pp. posłom dyplomy obywatelstwa honorowego.

Po wyjściu z urzędu gminnego przedstawiła się straż ogniowa ochotnicza szanownym delegatom — którzy nie szczędzili słów zachęty wyrażając się z wielkiem uznaniem dla tej straży, która w r. b. dwanaście pożarów a między tymi 3 bardzo niebezpieczne, grożące całemu miasteczku naszemu szczęśliwie ugasiła — zachęcając, by była przykładem do zakładania takich straży po innych miasteczkach naszego kraju.

Takie objazdy posłów zbliżają lud do swoich wyborców — którzy poznawszy ich lepiej osobiście a nabierając do nich zaufania — kładą tamę wszelkim intrygom przy przyszłych wyborach.

Na drugi dzień jeszcze dziękowali mieszkańcy Jezierzan JW. hr. Borkowskiemu jako prezesowi Rady powiatowej, za gorliwe zajęcie się budową dróg, przez co miasteczko to pozbawione do niedawna wszelkiej komunikacji stanie się niebawem ważnym punktem pośrednim na trakcie łączącym ten zakątek Podola z koleją.

W sprawie kart myśliwskich. Od jednego z posłów otrzymujemy następujące pismo:

„Wielmożny Panie Redaktorze!

W Nr. 231 *Przeglądu* umieszczono w kronice pod napisem „Ankieta łowiecka" w streszczeniu obrady tejże ankiety, niezupełnie dokładnie. I tak niedokładny jest spis członków biorących czynny udział w tejże ankiecie, należeli bowiem do niej w dniach 9 i 10 lipca oprócz wymienionych WW. Artur Cielecki i Breyer, zaś 6 i 7 października nie dr. Krattner tylko adwokat dr. Ferd. Kratter i nie p. Feliks lecz poseł Stanisław Gniewosz. Mylnie podano, iż ankieta uchwaliła zakaz polowania w święta i niedziele; za dotyczącem postanowieniem ustawy saskiej, głosowali tylko pp. Stanisław Gniewosz i Stanisław Homolacs, wniosek ten zatem upadł w ankiecie.

W celu zapobieżenia szkodom w zwierzynie przez psy, przyjęto nietylko podane postanowienie węgierskiej ustawy łowieckiej, co do strzelania psów wałęsających się, lecz uchwalono zakaz polowania z psami na rogacze podczas czasu ochronnego dla innej zwierzyny i ustanowiono grzywnę na polujących z psami w czasie niewłaściwym od 5 do 100 zł., zaś za rozmyślne puszczanie psów gończych w cudzy rewir do 200 zł.

Tym sposobem uczyniono zadość potrzebie ukrócenia amatorów polowania z psami po cudzych rewirach, z szkodą tych właścicieli, którzy dla szanowania zwierzostanu z psami nie chcą polować, a dotąd skutecznie temu nie zawsze oprzeć się mogli.

Do zwierząt drapieżnych, na których tępienie ustanowiono premję, zaliczono i wydry, które w ostatnich czasach mocno się rozmnożyły i gospodarstwo rybne w niektórych okolicach prawie niemożebnem czyniły.

Co do kart myśliwskich, zauważyć wypada, iż tak uchwała co do zniżenia taksy na 3 zł., jak i przeznaczenia dochodów na fundusz specjalny łowiectwa krajowego, przeszła w ankiecie większością tylko jednego głosu.

Żądane przez posła Gniewosza uwolnienie właścicieli polowania od opłaty na własnym obszarze, poparł tylko dr. Kratter, zaś poseł Abrahamowicz odstąpił od wniosku swego i uchwały sejmowej co do wydawania kart myśliwskich tylko uprawnionym do polowania, lub tym, którzy się ich pozwoleniem wykażą.

Projekt zaprowadzenia opłatnych kart myśliwskich, stanie tedy w obec Sejmu nietylko w zmienionej formie, ale z zmienionemi szansami przeprowadzenia. Ani ci, co w celach wzmocnienia i ubezpieczenia praw właścicieli polowania i ograniczenia amatorów, zanim głosowali, nie znajdą w zmienionym projekcie tego, co sobie obiecywali; ani zwolennicy wydobycia nowych źródeł dochodu dla funduszu krajowego w obec zniżenia opłat i stworzenia specjalnego funduszu łowieckiego, nie tak gorąco za nim ubiegać się będą.

Jest to w każdym razie znak, że ustawa ta dla naszych stosunków jest co najmniej przedwczesną — i że pokrycie potrzeb krajowych z kieszeni pojedynczych warstw społecznych nie będzie u nas popularniejsze — od podniesienia o ½ centa dodatku do podatku.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 12 października.

(Z) Chociaż pod niezbyt pomyślnemi auspicjami rozpoczęty, miał jednak targ dzisiejszy dość dobry przebieg. Atoli już z pierwszego wejrzenia można było poznać, że nie ma już takiego zapału do akcji, jaki panował przedtem, bo też nie brak czynników zdolnych do obniżenia gorliwości spekulacji. Przedewszystkiem trwożono się niepomyślnemi biuletynami o stanie zdrowia cesarza Wilhelma, a obok tego trwający ciągle a nawet powiększający się jeszcze brak gotówki stał się powodem dalszej podaży w rentach. — Także depesze o stanie kursów z Berlina musiały się przyczynić do depresji tendencji, bo przepowiadały dalszy spadek walorów rosyjskich. Arbitraż użyła tej sposobności, aby swoję pozycję w kredytach zmienić i zaczęła wysprzedawać swoje zapasy w rentach.

Tylko tej okoliczności, iż rzeczywisty przebieg giełdy berlińskiej nie odpowiadał nadesłanym o niej przedtem relacjom, należy przypisać, że usposobienie uległo później korzystnej zmianie. Arbitraż bowiem, widząc się poprzedniemi doniesieniami w błąd wprowadzonym, zmuszony był odkupować napowrót sprzedane przez się przed chwilą papiery, a sprawa ta musiała wpłynąć na wzmocnienie osłabionej tendencji.

Wszelako mimo to wszystkie prawie akcje bankowe poniosły pewne straty w kursach, a dział transportowy wykazuje nawet kilka znaczniejszych redukcyj kursów.

Notowano:

Kredyty austr. 283·70, austro-węgierskie 889·85, uniony 212·10, anglobanki 111·50, laenderbanki 228·—, bankvereiny 93·50, ludwiki 214·60, czerniowieckie 223 —, renta wspólna 80·80, srebrna 82·40, złota austrjacka 111.85, papierowa 5% 95·30, złota węgierska 98·85, papierowa 5% 85·75, ruble 1·10¼.

Telegramy „Przeglądu".

(Otrzymane wczoraj).

Paryż 13 października. *Petit Journal* donosi, iż rząd zamierza zastosować energiczne środki przeciw Boulangerowi, ponieważ tenże, jak niektóre dzienniki doniosły, obwinił ministra wojny o knowania przeciw sobie.

Mitchelstown 13 października. Werdykt sądu przysięgłych w sprawach ostatnich zaburzeń i zabójstwa trzech osób opiewa, iż szef policji i 5 policjantów, którzy na tłum ludności strzelali, popełnili rozmyślnie zbrodnię zabójstwa.

Petersburg 13 października. Senat nie uwzględnił odwołania wniesionego przez kupca w Moskwie, Sperlinga (obcokrajowca) od wyroku Trybunału handlowego w Moskwie, którym Sperling zasądzony został za przyjmowanie asekuracji w lipskiem Towarzystwie ubezpieczeń na życie, na 500 rubli grzywny i zamknięcie kantoru ubezpieczeń. Senat orzekł zarazem, iż prowadzenie podobnych ajencyj bez złożenia wprzód prawem przepisanej kaucji jest w Rosji niedozwolonem.

(Otrzymane dzisiaj).

Belgrad 14 października (pryw.) *) Dla pokrycia deficytu obmyślił Risticz zaoszczędzenie czterech miljonów denarów na wojsku, a jednego miljona na administracji cywilnej. Poselstwa w Atenach i w Bukareszcie będą zniesione, a w jednej osobie będą połączone poselstwa w Paryżu i Londynie, w Berlinie i Petersburgu, w Wiedniu i Rzymie. Budżet zwykły zostanie zredukowany z 142 na 137 miljonów denarów. Bieżący dług państwowy zostanie skonsolidowany na sumę 20,000.000 przez operacje kredytowe, które powierzono grupie Laenderbank-Comptoir d'Escompte.

Belgrad 14 października (pryw.) *) Uwięziono tu dr. Blumenfelda, krakowianina, wskutek intrygi lekarzy miejscowych przeciw obcemu lekarzowi zajmującemu korzystne posady lekarza przy kolejach państwowych i przy administracji tytoniu. Nasłano do niego pewne indywiduum, które starało się niby o posadę przy kolei. Dr. Blumenfeld wydał orzeczenie, że petent nie może być przyjętym, gdyż cierpi na daltonizm (niezdolność rozróżniania barw). — Indywiduum to wniosło następnie denuncjację, że dr. Blumenfeld należy do bandy fałszerzy banknotów i właśnie dał mu receptę na preparat chemiczny, potrzebny do owych fabrykacyj. Denuncjant podał, że stało się to dn. 28 września. Ale wtedy, jako w święto sądnego dnia, dr. Blumenfeld, izraelita, wcale z domu nie wychodził i nie przyjmował nikogo. Ta właśnie okoliczność odrazu obudziła podejrzenie, że jest tu ukartowana intryga. Zarządzone śledztwo potwierdziło ten domysł. Dra Blumenfelda już uwolniono i on wytoczył proces intelektualnym sprawcom oszczerstwa.

Berlin 14 października (pryw.) (*) Wysłano stąd do Sofji wielką ilość rewolwerów i amunicji, nabytych za gotówkę przez rząd bułgarski.

Londyn 14 października (pryw.) (*) Z Kalkutty donoszą: W okolicach Heratu został Ejub-chan z 15 towarzyszami obskoczony przez 200 afgańskich kawalerzystów. Żołnierze atoli zbuntowali się, nie chcieli iść do ataku, a oficerowie nie chcieli zażądać pomocy od pobliskiego oddziału wojska perskiego. Ejub uciekł nocą. Wysłany za nim pościg afgański przekroczył granicę perską, lecz musiał wrócić, gdyż gubernator perski zakazał dostarczać Afganom żywności.

Nowy York 14 października (pryw.) (*) Na kongresie rycerzy pracy w Mineapolis stwierdzono, że liczba członków z 729.677 spadła na 535.000.

Berlin 14 października (pryw.) (*) Załogi krzyżowców „Habicht" i „Cyklop" odbyły wyprawę wewnątrz Kamerunu dla ukarania kilku pokoleń za napady na niemieckie osady. Spalono dwie osady krajowców, który uciekli w lasy.

Wiedeń 14 października. Komisja gospodarcza Izby posłów obradowała nad projektem rządowym w sprawie zaprowadzenia szczegółowych postanowień co do dzielenia gruntów średniej wielkości i przyjęła pierwszych sześć paragrafów według propozycji subkomitetu

Cesarz przyjmował wczoraj króla serbskiego i złożył mu rewizytę. W obiedzie dworskim w Schönbrunnie uczestniczyli: król saski, król serbski i książę pruski Wilhelm.

Paryż 14 października. Minister wojny zapytywał telegraficznie Boulangera w sprawie Caffarela. Boulanger odpowiedział z początku wymijająco, następnie na ponowne zapytanie dał odpowiedź potwierdzającą doniesienie dziennika *Nation*.

Sąd śledczy orzekł jednomyślnie wypuścić Caffarela z więzienia.

Minister wojny przedłoży odnośny dekret Grevy'emu do podpisu. Jak dzienniki donoszą, został generał Boulanger ukarany 30 dniowym ścisłym aresztem, a nadto rada ministerjalna niebawem rozstrzygnie, czy ma on zatrzymać poruczoną sobie komendę korpusu. Na prośbę Wilsona przesłuchał sędzia śledczy pannę Rattazi i panią Limousin a także Krejtmajera. Wszyscy oświadczyli w obecności Wilsona, że ich zarzuty przeciw niemu (Wilsonowi) są bezpodstawne i fałszywe i podnieśli je li tylko dla tego, że w ten sposób spodziewali się stłumić całą sprawę:

Temps donosi: Komisarze francuscy i niemieccy oświadczyli, że należy przedewszystkiem stosunki granicznych ajentów uczynić mniej naprężonemi. Kwestji tej jednak oficjalnie nie omawiano.

Temps dementuje wiadomość, jakoby Francja oświadczyła się z wnioskiem złożenia międzynarodowej konferencji w kwestji marokańskiej. Nie mniej też rząd francuski nie otrzymał w tej mierze jakichkolwiek zapatrywań ze strony Hiszpanji.

Temps dementuje także pogłoskę, jakoby Francja zamyślalała wspólnie z Rosją zaproponować zwołanie konferencji w sprawie bułgarskiej.

Journal des Débats donosi: Poseł francuzki w Marokko potwierdza w piśmie nadeszłem tu wczoraj, że sułtan ma się lepiej, że mógł przed bramą pałacową dosiąść konia i pokazać się ludowi.

Belgrad 14 października Przedwczoraj odbyło się pierwsze posiedzenie podkomitetu komisji konstytucyjnej pod przewodnictwem ministra sprawiedliwości. Obrady prowadzone są tylko zasadniczo. Dopiero po porozumieniu się nastąpi opracowanie projektu konstytucji.

50 Arnautów napadło na granicy Jabłonickiego powiatu patrol serbski, zdążający pod przewodnictwem urzędnika powiatowego. Po zaciekłej walce odparto Arnautów.

Sofja 14 października. *Swoboda* twierdzi, że po prawidłowem przeprowadzeniu wyborów do sobranja, nie będzie się Porta ociągała dłużej z uznaniem faktów dokonanych.

(*) Przedruk wzbroniony.

Z zbożowych targów

14 październ.	Lwów	Tarnopol	Podwołoczyska	Jarosław
Pszenica	6 10 – 6 65	6.— – 6 50	6.— – 6 40	6 25 – 6 75
Żyto	4 10 – 4 60	4.— – 4 45	4. – 4 30	4 25 – 4 70
Jęczmień	5·— – 6 50	4.— – 5.75	4.— – 5.50	4.— – 6 45
Owies	3·10 – 3 60	3 40 – 3.95	3.50 – 4.—	3 65 – 4.—
Groch	.— – 5 —	4 50 – 7 —	4.25 – 6.50	4 75 – 7 —
Wyka	·— – 4 50	3.85 – 4·40	3.50 – 4.50	4.— – 4 75
Rzepak	9.— – 10.—	9 — – 9.60	9.— – 9 50	9.— – 10 —
Lnianka	.— – .—	.— – .—	.— – .—	.— – .—
Konic. czer.	35.— – 45	30 42 42 —	22.— – 40	35.— – 46.—
Konic. biała.	——	40.— – 48.—	37.— – 50.—	40 – 55—
Konic. szwed.	——	.— – .—	— – —	— – .—

wszystko za 100 kilo netto bez worka.

Chmiel za 56 kilo loco Lwów zł 25. — 60 nominalnie Okowita za 10·000 litr. proc. Lwów loco 26·— do 26.50 Wiedeń 14 październ. Pszenica od 7 20 do —·—. Żyto od 5 80 do ·— Okowita 25 75 — do —·—. Berlin 14 październ. Pszenica 148 — do 159 75 Żyto 110.— do 119 — Okowita 97.30 do 100.— Peszt 14 październ. Pszenica 6·90·— do — Żyto 5.35 do —·— Okowita 26 25 do —.—.

Kursa giełdowe.

Wiedeń dnia 14 październ. Godzina 10 minut 55. Renta wspólna papierowa 81·20 Renta wspólna srebrna 82·45 Renta 4% złota 111.95. Renta 5% papierowa 96.50. Akcje banku austro-węgierskiego 884.— Akcje austrjackie kredytowe 283.30. Funty szterlingi 125·55. Napoleondory 09·93½. Marki niemieckie 61.42½

Lwów. Z Izby handlowej. 14 października 1887.

1. Akcje za sztukę.

bez kuponu bieżącego bez dywidendy:	płacą		żądają	
Kolej galic. Kar. Lud. 200 zł. m. k.	213	50	216	50
„ lwow. czer.-jass. 200 zł. w. a.	222	50	225	50
Banku hypot. galic. 200 zł. w. a.	281	—	286	—
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	211	—	216	—
2. Listy zastawne za 100 złr.				
Banku. hyp. galic. 6 prc. w. a	—	—	—	—
„ „ „ 5 „ „	99	60	100	60
„ „ „ 5 „ prem.	103	25	104	25
Banku krajowego 4½% w. a.	95	50	96	50
Tow. kred. galic. 5 „ „	101	—	102	—
„ „ „ 4 „ „	92	75	93	75
„ „ „ 4½ „	98	25	99	50
3. Listy dłużne za 100 złr.				
G. Z. kr. wł. (d. 6%) 3% w likw.	50	—	53	—
„ „ „ „ (d. 5%) 2½% „	44	—	47	—
4. Obligi za 100 złr.				
Indemnizacyjne galic. 5 prc. m. k.	103	15	104	15
Kom. banku kraj. 5 prc. w. a. I em.	100	—	101	—
Pożyczka kraj. z r. 1873 6 prc. w. a.	103	50	105	50
„ „ „ 1883 4½% „	94	50	96	50
5. Losy.				
Losy miasta Krakowa	18	75	20	75
„ Stanisławowa	32	—	35	—

6. Monety.

Dukat holenderski	5·82	5·92
Dukat cesarski	5·88	5 98
Napoleondor	9·88	09·98
Półimperjał rosyjski	10·24	10·34
Rubel rosyjski srebrny	1·40	1·50
„ „ papierowy	1 09¾	1·11¾
100 marek niemieckich	61.20	61.80

2)

Klejnot kapłanów.

(Z angielskiego).

(Ciąg dalszy).

Krążąc w tłumie, słuchającym ogłoszenia rozkazu, zeszedłem się oko w oko z Johnem Herncastle. Podał mi rękę, jak zwykle mówiąc:

— Dzień dobry.

Zamiast wyciągnąć dłoń, rzekłem:

— Przedewszystkiem wyjaśnij mi, co było powodem śmierci owego Indjanina w zbrojowni i co znaczyły ostatnie jego słowa?

— Zdaje mi się — odparł Herncastle — że Indjanin skonał w skutek rany, a co do jego wyrazów ostatnich, wiem o nich tyle, co i ty.

Spojrzałem badawczo w jego oczy. Znikł z nich wczorajszy ogień dzikiej namiętności. Chciałem jeszcze zostawić mu drogę do wynurzenia się przedemną.

— Czy istotnie tylko to masz mi do powiedzenia? — zapytałem.

— Tylko to — odparł.

Odwróciłem się od niego i od tej chwili nigdy już nie zamieniliśmy z sobą ani słowa.

IV.

Nie potrzebuję dodawać, że wszystko, co tu skreśliłem, przeznaczone jest jedynie dla naszej rodziny, wyjąwszy gdyby nieprzewidziane okoliczności wymagały koniecznie ogłoszenia niniejszego opisu. Herncastle nie wymówił ani jednego słowa takiego, któreby mnie upoważniało do uwiadomienia dowódzcy o moich podejrzeniach.

Nieraz potem żartowano z mojego kuzyna, przypominając mu jego przechwałki, wyrzeczone w przeddzień szturmu, i pytając, czy znalazł djament. Ale stosunek jego do mnie, od owej sceny w zbrojowni, zamykał mu usta. Mówią, że chce się przenieść do innego pułku, nie tając się, iż powodem tego kroku jest chęć oddalenia się odemnie.

Nie wiem ile ta pogłoska jest prawdziwą; ale bądź co bądź, nie mogę zostać jego oskarżycielem. Sądzę, że wszyscy zrozumieją i ocenią moje pobudki. Mam tylko podejrzenia: nie wiem czy Herncastle zabił owych dwóch Indjan, których widziałem leżących w progu, a nawet i co do trzeciego, zabitego w zbrojowni, mam wątpliwość, ponieważ nie byłem świadkiem spełnionej zbrodni.

Słyszałem wprawdzie słowa konającego, ale jeśli Herncastle przypisywał je przedśmiertnemu majaczeniu, na jakiejże zasadzie mógłbym mu dowieść że tak nie było? Zdaję się w tym względzie na sąd naszych wspólnych krewnych; przeczytawszy mój opis, niech zawyrokują, czy wstręt mój do tego człowieka jest słuszny, lub bezzasadny.

Nie przywiązuję żadnego znaczenia do fantastycznej legendy o djamencie, a jednak wyznaję, że przesadna obawa napełnia moje serce. Mam przekonanie, czy urojenie — mniejsza o to — że zbrodnia zawsze pociąga karę za sobą. Podejrzywam silnie, że Herncastle zawinił i wierzę niezachwianie, że żałować będzie udziału swego w tej tajemniczej sprawie, i że każdy, kto z jego ręki przyjmie djament, doświadczy na sobie skutków fatalności, przywiązanej do tego klejnotu. Zobaczymy.

Koniec Prologu.

Okres pierwszy.

Zguba djamentu (r. 1848).

Poniższe wydarzenie opisał Gabrjel Betteredge, rządzca pałacu lady Verinder.

ROZDZIAŁ I.

W części pierwszej „Robinsona Kruzoe“, na stronicy 129, znajdziecie następujące wyrazy *):

„Wtedy to przekonałem się — zapóźno niestyty! jak niedorzecznie jest kusić się o wykonanie jakiegokolwiek przedsięwzięcia, bez poprzedniego zastanowienia się nad trudnościami i bez zdania sobie sprawy, czy posiadamy środki, aby zamiar swój szczęśliwie do końca doprowadzić.“

Nie dalej jak wczoraj, otworzywszy — na chybił trafił, jak zawsze — mojego Robinsona, przeczytałem ten ustęp, a dziś rano, dnia 21 maja 1850 r., przyszedł do mnie pan Franklin Blake. siostrzeniec milady, i miał ze mną następującą rozmowę:

— Betteradge — zaczął pan Franklin — byłem u adwokata za interesem i między innemi zgadało się o zniknięciu djamentu braminów. Pamiętasz zapewne, że to się stało blisko dwa lata temu w Yorkshire. Pan Bruff zgodził się wraz ze mną na to, że w interesie prawdy należałoby spisać czarno na białem całe to dziwne zdarzenie, i to im prędzej, tem lepiej.

Nie domyślałem się jeszcze do czego to zmierza, a ponieważ wiem, że dla miłego spokoju trzeba starać się o ile możności być zawsze jednego zdania z adwokatem, odrzekłem więc, że to myśl bardzo trafna. Wtedy pan Franklin zaczął mówić dalej.

— Wiesz, Betteredge, że z powodu owego djamentu kilka osób niewinnie cierpiało na dobrej sławie? Może kiedyś, w przyszłości, taki sam los dotknąłby innych, w obec braku faktów, spisanych dla objaśnienia naszych dzieci i wnuków. Otóż, kochany Gabrjelu, zdaje mi się, że pan Bruff i ja wynaleźliśmy najlepszy sposób przedstawienia i uwiecznienia prawdy, to jest rzeczywistego przybiegu wypadków.

— Nieprzeczę, że mogłoby to naszym wnukom wielką sprawić przyjemność, ale cóż mnie do tego?

Pan Franklin rzekł znowu:

— Potrzebaby opisać cały szereg wypadków, a tego mogą tylko dokonać osoby, które bezpośrednio były wmieszane w tę sprawę. Wychodząc z tej zasady, umyśliliśmy, aby każdy z nas wziął na siebie spisanie tej części dziejów djamentu, której był uczestnikiem, i ani słowa więcej. Początek, dotyczący przejścia djamentu w ręce mojego wuja Herncastle, gdy służył w armji anglo-indyjskiej przed pięćdziesięciu laty — już mam... Teraz należy opowiedzieć, jakim sposobem djament przeszedł dwa lata temu na własność Racheli i jak, w kilka godzin później, zniknął z domu. Otóż Betteredge, nikt nie wie tak szczegółowo jak ty o wszystkiem, co wtedy zaszło. Ty więc powinieneś pierwszy ująć za pióro i zacząć naszę opowieść.

Teraz zrozumiałem, jaki zachodzi związek między mną a pomysłem adwokata.

Możeście ciekawi wiedzieć, co zrobiłem, usłyszawszy tę propozycję. Otóż wam powiem, że zrobiłem to, co każdy z was byłby prawdopodobnie uczynił na mojem miejscu: oświadczyłem skromnie, że nie czuję się zdolnym do takiego przedsięwzięcia, lubo w duszy byłem przekonany, że potrafię je spełnić wyśmienicie. Podejrzywam, że pan Franklin musiał na mojej twarzy wyczytać to co myślę, bo nie chciał wierzyć moim zaprzeczeniom, nalegając usilnie, abym nie kładł tamy swojemu talentowi pisarskiemu.

Już dwie godziny upłynęły, jak p. Franklin wyszedł z mojego pokoju.

Skoro tylko drzwi się za nim zamknęły, siadłem do biurka, nie tracąc czasu, aby natychmiast zacząć opowiadanie.

Siadłem — i siedzę jeszcze, i nie wiem co począć, pomimo wrodzonej mi bystrości umysłu. Spostrzegam to, co wyczytałem w przytoczonym wyżej ustępie z Robinsona, mianowicie, że trzeba być warjatem, aby się podejmować zadania, nie obrachowawszy naprzód wszystkich trudności.

Pamiętajcie, że otworzyłem książkę przypadkiem i to w wigilję dnia, w którym tak nierozważnie trudnej podjąłem się pracy. Nie jestże to przeczucie?

Nie jestem zabobonny; czytałem mnóstwo książek i jestem po swojemu uczony. Choć mi już siedmdziesiąt lat minęło, mam jednak dobrą pamięć, a i nogi jeszcze służą. Otóż nie myślcie, że jest to zdanie nieuka, gdy wam powiem, że książka taka jak Robinson Kruzoe jest jedyną w swoim rodzaju i że nikt nigdy drugiej takiej nie napisze. Robinson, to mój doradzca od lat bardzo wielu; czytam go, paląc zwykle fajkę, i znajduję w nim pociechę na wszystkie przeciwności tego doczesnego życia. Jestem smutny:— Robinson Kruzoe. Dawniej, kiedy mi żona dokuczała, teraz gdy czasem kropelkę za dużo pociągnę — Robinson i zawsze Robinson. Czy dacie wiarę? Zdarłem już sześć egzemplarzy Robinsona; milady w ostatnią rocznicę swoich urodzin, podarowała mi siódmy; kosztował cztery szylingi i sześć pensów. Ładne wydanie, oprawne w niebieskie płótno i z ryciną w dodatku.

Ale ta gawęda nie posuwa naprzód historji djamentu nieprawdaż? Powiecie że stary bałamuci. A zatem biorę drugi arkusz papieru i zaczynam naprawdę.

ROZDZIAŁ II.

Wspomniałem poprzednio o milady. Djament nie byłby nigdy dostał się do naszego domu i nie byłby zginął, gdyby córka milady nie była go otrzymała w podarunku, no, a córka nie żyłaby na świecie, gdyby matka nie była jej wychowała wśród wielu trosk i zmartwień, nieodłącznych od macierzeństwa. Otóż, jeśli zaczniemy od milady, to widzicie sami, że trzeba będzie nam cofnąć się dość daleko w przeszłość; miła pociecha dla człowieka, obarczonego takiem jak ja zadaniem.

Jeżeli macie stosunki w świecie arystokratycznym, to musieliście nieraz słyszeć o trzech pannach Herncastle — i to same pochwały. Trzy siostry nazywały się: Adelaida, Karolina i Julja; ta ostatnia, najmłodsza, była mojem zdaniem najpiękniejszą.

Wszedłem w służbę do ich ojca. Stary lord nie ma żadnego udziału w historji djamentu, za co możemy podziękować Panu Bogu, bo był to gaduła jakich mało. Otóż, mając lat piętnaście, zostałem przyjęty przez lorda na pokojowca do panienek i zajmowałem to stanowisko do czasu zamęźcia panny Julji z lordem Verinder, człowiekiem jedynym, ale potrzebującym kogoś, coby nim ciągle kierował. Mówiąc między nami, miał tego podostatkiem, a co większa, było mu z tem bardzo dobrze, żył szczęśliwie, utył i umarł zadowolniony.

Zapomniałem powiedzieć, że mąż mojej pani przyjął mnie do służby.

— Milordzie — rzekła lady Julja po ślubie, nie będę mogła obyć się bez Gabrjela.

— Milady — odparł sir John — w takim razie i jabym nie potrafił wyżyć bez niego.

Tak było zawsze między nimi.

(C. d. n.)

*) Jest tu mowa o dziele oryginalnem, jak je napisał Daniel de Foi. Rozpowszechnione u nas przeróbki, zwłaszcza dla młodzieży, obejmują zaledwie piątą część przygód i podróży Robinsona, zawartych w edycjach angielskich. (Przyp. tłum.)

Odpowiedzialny redaktor **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni i litografji Pillera i Spółki (Nr. Telefonu 174 A.)